

# Baśń

fragment

## I

*Świat był jeszcze tak młody, że wiele rzeczy nie miało nazwy i mówiąc o nich trzeba było wskazywać palcem.*

*Gabriel Garcia Marquez  
„Sto lat samotności”*

- Javier?
- Słucham?
- Javier Aproxymeo?
- Kto mówi?
- Julia Kradec.
- Kto?
- Julia Kradec.
- To jakaś pomyłka.
- Nie, nie. Przypomnij sobie, przecież...
- Proszę pani, jest druga w nocy.
- Jezu Chryste, znowu to samo... Nie dzwoniłabym, gdyby to nie było ważne.
- Ale o co chodzi?
- Musisz sobie przypomnieć, Javier. Trzy lata temu, w pociągu z Houston. Mówiłeś, że jedziesz na pogrzeb dziadka. No przypomnij sobie. Inaczej... Przypomnij sobie! Wysoka brunetka, pokłóciliśmy się o palenie papierosów; zerznąłeś mnie zanim jeszcze wyjechaliśmy z Teksasu.
- ...
- Przepraszam. Nie mam już do tego nerwów. Chcę tylko...
- Będziesz mnie teraz skarżyć o gwałt?
- Przecież mnie nie zgwałciłeś!
- ...Nic z tego nie rozumiem. Urodziłaś może dziecko? Co? Zaszłaś wtedy w ciążę?
- Nie!!
- Nie wrzeszcz. Może byś tak zadzwoniła rano, mhm?
- Zamknij się i daj mi powiedzieć. Mam HIV-a. Rozwaliłam się motorem i wyszło przypadkiem na badaniach. Nie robiłam wcześniej, więc nie wiem, od kiedy. Doktor dał mi coś jakby regulamin... Zrobiłam listę. Dzwonię teraz po wszystkich, których udało mi się przypomnieć z nazwiska. Rozumiesz? Javier? Zbadaj się.
- Kto mówi? Co to za kawał? Dorothy cię napuściła?
- Mogłabym się doktoryzować z syndromu pierwszej reakcji... Jakby się zmówili... Nie, Javier, to nie jest kawał. Obudź się wreszcie. Komu mówiłeś o tym amtrakowym romansiku? No więc? Idź się zbadać

zaraz z rana. Może sam będziesz musiał sporządzić taką listę i dzwonić po świecie do obcych już ludzi, to się przekonasz.

– Chwila. Moment.

– Obudziłeś się?

– Ja chyba miałem wtedy gumę...

– Tylko na pierwszy raz. Poza tym to by jeszcze niczego nie przesądzało. Leżę tu wręcz obłożona książkami, więc wiem. No. Dotarło? Dotarło. Przepraszam, ale chcę się uwinąć nim na wschodzie zaczną wychodzić do pracy.

– ...

– Javier? Dobrze się czujesz?

– Czy to ty miałaś taki mały diamentowy koleczyk w nosie, z lewej strony?

– Tak.

– ...W każdym bądź razie mam nadzieję, że nie zachorujesz. Trzymaj się.

– Wiesz co, jesteś pierwszym z listy, który pomyślał nie tylko o sobie. Zdziwiasz mnie. Czy ty...

– Och, ja po prostu wiem, że jestem czysty. – I odłożył słuchawkę.

Jednak przez te pierwsze kilka minut telefonicznej rozmowy, zanim ocknął się na tyle, by przypomnieć sobie, iż w skład okresowych badań wymaganych przez wojsko wchodzi także test na obecność we krwi wirusa HIV – przez te kilka długich minut nocnej rozpaczy był pewien, że właśnie przegrał swoje życie.

Wydarzyło się to na trzy tygodnie przed spotkaniem z pułkownikiem Towwe.

## Biały Pokój

W Białym Pokoju nie ma żadnych mebli ani sprzętów, wyjąwszy stojące na środku pomieszczenia metalowe krzesło. Należy usiąść na nim i, pozostając w bezruchu, patrzeć w stanowiące przeciwległą drzwicom ścianę zwierciadło. Aż zapali się umieszczona nad zwierciadłem czerwona lampka. Wówczas należy wstać i wyjść. Bez pośpiechu. Nic nie mówiąc. Po tobie wejdzie następny.

Biały Pokój mieścił się w Bloku L3, za kompleksem administracyjnym bazy, przy budynku żandarmerii. Codziennie wywieszano w koszarach listy wzywanych do odwiedzenia Białego Pokoju. Szło to szarżami, począwszy od szeregowców wzwyż. Nie wzywano wszystkich; w rzeczy samej chyba tylko co dziesiątego, oficerów – mniej więcej co szóstego. Reguły selekcyjnej nie udało się odkryć. Szeregowcy usiłowali przekupić kancelistów, sierżanci ciągnęli na piwo kumpli ze sztabu, oficerowie dzwonili nawzajem do siebie do biur – w ciągu trzech tygodni przeszła przez bazę fala plotek; przeszedłszy, opadła i zniknęła: przestano wywieszać listy. Najwyraźniej Biały Pokój odwiedzili już wszyscy, którzy powinni byli go odwiedzić. Aproxymeo wstąpił doń przy końcu pierwszego tygodnia. Był porucznikiem.

Znajomi dzielili się uwagami w poczekalni, oczekując na swoją kolej; nikt nie wiedział niczego pewnego. Kapral z kwatermistrzostwa pilnował kolejności. Miał spis, wyczytywał nazwiska i odfajkowywał. Jefferson z drugiej pancernej przyszedł ze stoperem i notesem, żeby mierzyć czas pobytu wewnątrz poszczególnych wezwanych. Miał jakąś szaloną teorię. Psychologia, mówił, unosząc znacząco palec. Czas pobytu wahał się od minuty do kwadransa.

Spis kaprała był alfabetyczny i Aproxymeo wszedł jako szósty. Usiadł na krześle. Zapatrzył się w swoje odbicie. Powinienem się starannie ogolić, pomyślał. Ależ ona miała nogi, stąd do Guadalajary, pomyślał. Lowry obniża mi średnią, muszę się go wreszcie pozbyć, pomyślał. Nienawidzę wojskowego żarcia, pomyślał. Zapaliło się czerwone światło. Wstał i wyszedł. Osiemdziesiąt siedem sekund, oznajmił Jefferson.

Biały Pokój nazywano tak, ponieważ ściany, podłogę i sufit miał nieskazitelnie białe; wyglądał niczym izolatka oddziału psychicznie chorych.

## Pułkownik Towwe

Pułkownik Towwe (tak głosił identyfikator wpięty w anonimowy poza tym mundur) z pochodzenia był Azjata; w każdym bądź razie krążyła w jego żyłach spora porcja zapacyficznej krwi. Uśmiechał się. Wyglądał przy tym jak drapieżna panda.

– Proszę usiąść, poruczniku.

Aproxymeo usiadł na jedynym wolnym krześle. Klitka wyposażona była ponadto w biurko ze sklejki, metalową szafkę na akta, telefon, kalendarz, lampę, wentylator oraz obrotowy fotel, w którym zapadł się był pułkownik. Nie posiadała okien. Na drzwiach brakowało informacji o przeznaczeniu izby; „214B” – tyle.

Polecenie stawienia się przyszło w czasie, gdy Aproxymeo przebywał na poligonie; zaakcentowano pilność wezwania, więc stawiał się zaraz po powrocie, ledwo umywszy ręce i twarz i wyczyściwszy buty. Na spodniach miał plamy od trawy, bluza pachniała prochem.

Towwe zgasił uśmiech i otworzył leżącą na biurku teczkę. Aproxymeo ścierpła skóra. Oho, pomyślał; wpadłem. Księga nazywa się Akta Personalne, spisują ją złośliwe anioły i każdy pomieszczony w niej sąd jest ostateczny.

– Porucznik Javier I. Aproxymeo – zaczął półgłosem Towwe, niby czytając, w rzeczywistości popatrując na Aproxymeo spode łba. – Co to za nazwisko, greckie?

– Mhm, moi rodzice należeli do sekty Jarabby, matka je zmieniła, sir.

– Ty też?

– Słucham?

– Ty też należałeś?

– Popelnili samobójstwo, sir, kiedy miałem dwanaście lat. To jest w aktach.

– A, tak, rzeczywiście. – Przerzucił kilka papierów. – Ta ankieta, którą rozesłaliśmy w zeszłym tygodniu...

– Odpowiedziałem w terminie.

– Tak jest, odpowiedzieliście, mam tu właśnie waszą odpowiedź. Bardzo ciekawe zainteresowania. Z tym kendo – to na serio?

– Startowałem w mistrzostwach kraju, sir.

– I co?

– To nie jest sztuka dla młodych, sir. Uczę się.

– Sztuka, powiadasz. Umiesz jeździć konno?

– Ee... nie.

Znowu kilka kartek przerzuconych.

– Dziwię się, że z takimi wynikami testu zdolności językowych nie wzięli was do wywiadu, Aproxymeo. IQ też niczego sobie.

Aproxymeo nie był pewien, czy ma coś na to odrzec, milczał więc.

Towwe stukał długopisem w blat.

– Taak. Hiszpański, francuski, niemiecki, japoński, łacina, włoski. Na co wam ta łacina? A teraz jakiego się uczyć?

– Myślałem o rosyjskim, sir. Ale nie mam ostatnio czasu.

– Więc jednak celujecie do tego wywiadu, co? Studiowaliście politologię. Wiecie, czego chcecie,

poruczniku, to trzeba wam przyznać. Macie dziewczynę?

- Jestem hetero, sir.
  - Nie o to pytam. Czy macie dziewczynę?
  - Chyba już nie.
  - Aha. Miast listy krewnych – biała plama. Wicie już, do czego zmierzam.
  - Tak jest, sir. Mogę spytać, jak długo?
  - Długo.
  - Oczywiście niebezpieczne.
  - Oczywiście awans, przydział i pochwała w aktach.
  - Oczywiście, sir. Gdzie mam podpisać?
  - Tutaj, poruczniku. I tutaj.
- Potem ponownie uśmiechnął się.

## Krótko we wsteczne lusterko

Swego czasu śnił o tym, i teraz, w pokoju 214B, tkając z pułkownikiem Towwe szybki dialog i podpisując stosowne dokumenty – odnosił mgliste wrażenie déjà vu. Co było; co miało być; co jest; co będzie. Rzadko kiedy większe zdziwienie, niż gdy spełniają swe twe nadzieje i zamierzenia. Ale twarz miał nieruchomą i oczy spokojne i dłoń pewną, gdy sunął długopisem po skserowanym w czterech egzemplarzach cyrografie. Są to chwile, gdy życie w pełnym pędzie przeskakuje z toru na tor, od uderzenia w szyny popadając w rychło gasnący rezonans. Potrafił owe chwile rozpoznać. Czuł te drgania. Kurczyły mu się mięśnie brzucha.

Towwe wygłosił standardowe pouczenie. Zlikwidować miejscowe sprawy. Pożegnać się z przyjaciółmi. Nie zasłaniać się tajemnicą i nie wykręcać; kłamać, po prostu kłamać. Oficjalny przydział przyjdzie jeszcze dzisiaj: instruktor piechoty w bazie w Europie. Papier będzie miał fałszywą sygnaturę i zaginie po opuszczeniu jednostki przez Aproxymeo. Naprawdę Aproxymeo poleci do Atlanty, tam przejmie go major Smith. To za dwa tygodnie. Tymczasem likwiduj tu swoje życie i zacieraj przeszłość. Pułkownik nie uściśnął mu dłoni i nie życzył powodzenia.

A więc dwa tygodnie. Ponieważ, rzecz jasna, Aproxymeo nie wiedział nic o prawdziwym przydziale, horyzont zakrzywił mu się ostro na tych czternastu dniach i wznosił krzywym zwierciadłem ku niemożliwości. Im bliżej jego powierzchni, tym większe deformacje świata za plecami.

Sprzedał hondę. Wycofał prenumeratę. Wymówił najem tej klitki w śródmieściu; ruchomości, których nie chciał się pozbyć a nie mógł też zabrać, zapakował w pudła i złożył w opłaconym na pięć lat garażu, spotkało to między innymi jego bambusowe miecze ćwiczebne, zabytkową kataną, klarnet, spory księgozbiór.

- Gorzej z ludźmi. Wychodzą z pudeł.
- Na trzy dni przed wyjazdem niespodziewanie zadzwoniła Dorothy.
- Dalej jesteś zły?
  - Jak cholera.
  - A jeśli przeproszę?
  - Słuchaj, Dot...
  - Oho, widzę, że to coś poważnego. Od jak dawna? Znam ją?
  - Teraz znowu się obrażasz.
  - Nie obrażam się. Miałeś prawo.
  - Przez telefon ładnie łziesz. Nie rozbij go potem.

– Więc co? Tak w twarz? Reszta w niepamięć?

– Poślę ci kwiaty.

– A w dupę se je wsadź. I pamiętaj, że lubię róże.

– ...Płaczesz?

– Chciałbyś.

– Opanuj się; to nie rozwód; mój majątek czterocyfrowy.

– Mój Boże, co się stało? Ja nie rozumiem. Musimy się zobaczyć. Ty nie jesteś z tych, co potrafią zapomnieć na rozkaz, Javier.

– Nic z tego nie będzie. Z całym szacunkiem. Będę ci przysyłał kartki na urodziny.

– Z całym szacunkiem! – zachłysnęła się. – Z całym szacunkiem! Jezu Chryste, czy ja naprawdę zasłużyłam na coś takiego?! Z całym szacunkiem...! – I trzasnęła słuchawką.

W plutonie było prościej. Papierek jest papierek. Część się cieszyła, część niepokoiła, jaki to okaże się jego następcą. Sierżanci zrzucili się na nóż o rękojeści z indiańskim ornamentem, z grawerunkiem symbolu kompanii, leoparda. Inni dowódcy plutonów zakupili natomiast prezent szybszego użytku: kontener piwa. Wczesnym rankiem, już po wypisie, zdawał na lekkim kacu oddział porucznikowi Lace, który przybył w ostatniej chwili. Lace był sporo starszy; zaciął się potwornie przy nocnym goleniu i wyglądał teraz jak nie dokończone śniadanie wampira. Wypytywał o ludzi. Aproxymeo szumiał jeszcze w głowie alkohol i mówił całkowicie szczerze. Przehandluj Lowry'ego. Capusta to prowodyr, ale można go podejść. Z Mucka będzie sierżant. McVail to prawdopodobnie pedał. Litzowi popuść wodzy, będzie czuł odpowiedzialność. Miej oko na Karnata, Ormoza i Wellingtona.

– Już za nimi tęsknisz – skostatował Lace, przysłuchujący się z uwagą tej wyliczance.

– Ee-tam; smutek bladego świtu – skwitował Aproxymeo spoglądając za zegarek. Samolot miał za cztery godziny. Zwierciadło było na wyciągnięcie ręki.

## Nie można zmienić

Na wyciągnięcie ręki, na pół kroku, skraplał się na nim jego piwny oddech; chcąc nie chcąc, wchodził sobie samemu w oczy. Lecąc do Atlanty rozciągał się na tym kole tortur bez litości. Akurat to, co rzekł o nim pułkownik Towwe, było przeciwieństwem prawdy: wcale nie wiedział, czego chce. Wojsko to pancerne przedszkole prawdziwego życia, mógł się tu kryć dowolnie długo. Różnica jest bardzo subtelna: niemal wszyscy dryfujemy bezwolnie, niesieni prądami czasu, lecz bardzo niewielu zdaje sobie z tego sprawę, widzi te prądy i próbuje się im przeciwstawić. Zwierciadło wyjawiało Aproxymeo okrutną prawdę: bez zwierciadła pomocy w żaden sposób nie można się obejrzeć wstecz. Są to krainy już na zawsze utracone; nie zrobisz kroku w tył, nie zatrzymasz się nawet, możesz tylko iść naprzód, wybierając lub losując kierunki na rozstajach dróg, zazwyczaj z jednakim prawdopodobieństwem klęski. Tylko w lustrze pewność; odbicie przeszłości: to ja sam. Ja, ja, ja, Javier Aproxymeo; nosimy to samo imię i nazwisko: mój czas zużyty i ja. Jedynie to prawdziwe, co niezmiennie – a ja nie będę miał drugich dwudziestych urodzin, drugiego dzieciństwa. Ach, dzieciństwo; szanse niezaprzepaszczone... Jedyna to dostępna człowiekowi boskość: lata młodości, kiedy to jeszcze możesz być wszystkim, jest w tobie morderca, ale jest i książę. Lecz każda zamarzająca sekunda pozbawia cię kolejnej cząstki potencjalnej wielkości. Wystarczy parę lat. Czas miniony zmienia cię w lodową rzeźbę. Niewiele pozostaje; mróz przeszłości ścina ci nawet myśli, nie przyjdzie ci do głowy nic, co już kiedyś nie przyszło, nie wykonasz nowych ruchów, nie wypowiesz nowych sądów, nie pokochasz ludzi różnych od tych, których już kochałeś. Zimny lód. Już w minutę po urodzeniu zaczynają się na tobie osadzać pierwsze warstwy szronu nieodmiennej przeszłości. Proces, którego nie da się zatrzymać. Ciało jest tym, co zjadłem;

umysł – tym, co przeżyłem. To klątwa; oczywiście, że klątwa. Przeznaczenie w wersji dla agnostyków; determinizm miękki. Uśmiechnął się do stewardessy. – Jestem żywą bombą. Jeśli mnie pani natychmiast nie pocałuje, wysadzę ten samolot w powietrze. – Nie знаła łaciny i też się uśmiechnęła.

## Niewłaściwe pytania

Smith był wysokim Murzynem; na lotnisku zjawił się ubrany po cywilnemu, podobnie jak Aproxymeo. Przyjechał przysłowiowym czarnym sedanem. – Daleko? – zagadnął go Aproxymeo. – Kilka godzin – mruknął major. Aproxymeo zasnął w czasie jazdy.

Ośrodek leżał za miastem, w otoczonej lasem dolince. Pierwotnie była to prywatna stadnina; nadal zresztą trzymano tu konie. Przenosząc torby z bagażnika do pawilonu dla gości, Aproxymeo dostrzegł w oddali dwóch mężczyzn na koniach, galopujących zapamiętale przez dolinkę, jakby od tego ich wyścigu zależało czyjeś życie – przesadzili strumień, przesadzili płot, konie wyciągały się w biegu jak antylopy, pot lśnił na ich ciemnej sierści w promieniach chyłącego się ku horyzontowi jesiennego słońca. Aproxymeo z torbami przerzuconymi przez ramiona przystanął na schodkach. Doszło go echo łomotu kopyt wierzchowców. Zapach suchej trawy walczył z zapachem benzyny.

Powracający z głównego budynku Smith wyminął Javiera i otworzył przed nim drzwi. Wskazał jego pokój. Dźwigał pod pachą stertę jakichś książek i dokumentów; wszedłszy za Aproxymeo, położył je na jego biurku.

– Czy ja też będę musiał się nauczyć jeździć konno? – spytał Javier.

Smith po raz pierwszy pokazał zęby.

– Jeszcze nie przeszedłeś przez sito. – Klepnął w książki i papiery. – Przeczytaj to i wypełnij, co trzeba. Jutro pogrzebią ci w główce. Więcej powie ci szef, jak będzie już decyzja.

– A kto tu jest szefem?

– Doktor Ack. Mówi ci to coś? Więc po co pytasz?

Aproxymeo podniósł pierwszą książkę.

– „Władca Pierścieni”... To jakiś żart.

– Lektura obowiązkowa, chłopcze.

– Czytałem.

– Przeczytasz raz jeszcze.

Aproxymeo pokręcił głową. Przysiadł na krześle pod oknem, wyjrzał na dolinę; tamci dwaj dalej galopowali, słońce dalej zachodziło.

Spojrzał Smithowi prosto w oczy.

– O co tu chodzi, panie majorze?

– O guz. Mówi ci to coś? Więc po co pytasz? – Smith ponownie wyszczerzył uzębienie, wzruszył ramionami, machnął ręką i wyszedł.

Aproxymeo przekartkował resztę przyniesionego przez majora materiału. Sześć powieści, co do jednej fantasy; plan i regulamin ośrodka (czyli czego nie wolno); jeszcze kilka ankiet; kolejne oświadczenia o tajności („Świadomy odpowiedzialności karnej...”).

W pokoju nie było telewizora, radia ani komputera. Gdy chciał zapalić lampę, okazało się, że kontakt nie działa. W szafce znalazł natomiast paczkę świec; lecz bez zapalek. Skorzystał ze swojej zapalniczki.

W łazience nie było ciepłej wody. Prysznic nie działał. Ręcznik był z lnu.

Zanim się położył, uchylił okno. Grały cykady; rżał gdzieś niedaleko koń. Woń świeżego siana wywołała u Aproxymeo gęsią skórkę. Długo siedział i smakował noc. Lubił wielkie przestrzenie; kochał wielkie przestrzenie.

Poprzedni czytelnik tej książki gustował w cygarach. Miał zwyczaj zaznaczać miejsce zagięciem rogu kartki, a na marginesach stawiał pytajniki i wykrzykniki.

Guz, pomyślał Aproxymeo.

*Kiedy pan Bilbo Baggins z Bag End oznajmił, że wkrótce zamierza dla uczczenia sto jedenastej rocznicy swoich urodzin wydać szczególnie wspaniałe przyjęcie – w całym Hobbitonie poszły w ruch języki i zapanowało wielkie podniecenie...*

## Koniuszy

Poszedł tam, zanim jeszcze Smith przyniósł mu po testach oficjalny przydział, co zresztą stało się nazajutrz. Tymczasem jednak nie miał w stajniach czego szukać. Ale poszedł. W regulaminie nie było zakazu.

Słońce mocno grzało i mężczyzna szczotkujący konia był rozebrany do pasa. Nim obrócił się przodem do nadchodzącego Aproxymeo, ten dostrzegł na jego nagich plecach potworny tatuaż, czarną i czerwoną farbą kluty, przedstawiający cztery kobiece postaci w śmiertelnej męce – rozrywane, palone, obdzierane ze skóry, ćwiartowane – wpisane w celtycki krzyż.

– Tak?

Aproxymeo przedstawił się. Spytał o instruktora.

– To ja – odparł tamten, przekładając szczotkę z ręki do ręki, by móc uścisnąć dłoń Javiera. – Justus Dethew.

– A stopień?

Justus wzruszył ramionami.

Aproxymeo wszedł do środka, w cień. Oczy mu się zakomodowały i przyjrzał się Dethewowi dokładniej. Wyglądał na czterdziestkę, łysiał; ciało utrzymał wszakże w całkiem przyzwoitej formie. Na brzuchu miał długą, krzywą, szarpaną bliznę.

– To pan mnie będzie uczył jeździć – rzekł Aproxymeo, chociaż wcale jeszcze nie miał takiej pewności.

– Próbował pan kiedyś?

– Nie.

Dethew krótkim ruchem ręki ze szczotką wskazał stojącego spokojnie karosza.

– Co? – zmarszczył brwi Aproxymeo.

– Przywitaj się.

Nie wyglądało to na kpinę, Dethew się nie uśmiechał, ani tonem głosu nie dawał do zrozumienia, iż żartuje. Javier podszedł więc i niezdarne poklepał konia po grzbiecie, objął za szyję, pogłaskał chrapy. Koń poruszył łbem, zazezował na niego, oko miał wielkie, jakby wytrzeszczone, przestraszone. Aproxymeo szepnął mu do ucha słowa bez sensu. Łeb opuścił się nieco. Aproxymeo czuł na skórze dłoni bardzo gorący oddech zwierzęcia; drugą ręką wciąż klepał go po szyi. Kopyta wierzchowca nie przesunęły się ani o cal.

– Jak ty się nazywasz? – zapytał Dethew.

– Aproxymeo – powtórzył Aproxymeo.

– Skłamałeś mi.

– Mhm?

– To niemożliwe, żebyś nigdy w życiu nie miał do czynienia z końmi.

– Nie kłamie. I nie podoba mi się takie zarzucanie mi z miejsca łgarstwa.

– No. Bez obrazy. Alem jeszcze nie widział, żeby ktoś przy pierwszym spotkaniu podchodził tak

zupełnie bez strachu.

– Strachu?

– Nie zauważyłeś? Ludzie boją się koni.

Aproxymeo odwrócił się od karosza; zwierzę obejrzało się za nim.

– Nie rozumiem – mruknął Javier. – Co to znaczy: ludzie? Wyjątków zawsze więcej.

Dethew w milczeniu powrócił do szczotkowania wierzchowca. Aproxymeo przypatrywał mu się, zapamiętując metodę.

Instruktor odezwał się dopiero po paru minutach. Wypowiedział mianowicie krótkie zdanie o pytającej intonacji w nieznanym Javierowi języku.

– Po jakiemu to było? – zainteresował się natychmiast Aproxymeo.

– Aa... – Dethew uśmiechnął się krzywo – sądziłem, że zrozumiesz. Sorry. Pomyłka.

– Ale po jakiemu to było? Cholera, zabiłeś mi klina; zazwyczaj potrafię rozpoznać, choćby w przybliżeniu. Ale to... Jakies indiańskie narzecze?

– Nie, nie. Daj spokój.

– Na to nie licz. Co to za język? – nacisnął Aproxymeo.

– Lingwista? – domyślił się Dethew. – No tak. Pomyłka, pomyłka. Zapomnij. Tajne przez poufne.

– Oho. Pomachaj czerwonym jeszcze trochę, może byk się uspokoi.

Dethew kręcąc bez przerwy głową odprowadził konia do boksu; schował szczotki, umył ręce.

Aproxymeo miał okazję przyjrzeć się dłużej jego tatuażowi. Te kobiety były narysowane tak precyzyjnie, z taką dbałością o detale, że mógł policzyć im żebra; miały za mało o dwie pary.

– Yakuza? – rzucił, żeby jakoś zahaczyć o temat.

– Tatuaż? – mruknął Dethew nie odwracając się od wiadra z wodą. – Nie, skąd. Czy ty przypadkiem nie jesteś agentem obcego wywiadu?

– Co to był za język?

– Pokaż mi wpiery papierek podpisany przez Ack.

– Mój Boże, to chyba zaraźliwe. Ale przejechać mi się pozwolił?

Dethew wytarł ręce.

– Zaraz przejechać – parsknął. – Na początek naucz się wsiadać i spadać.

Nauczył się.

## Baśń

Smith zaprowadził go na piętro głównego budynku kompleksu; przez okno korytarza widać stąd było całą zieloną dolinę. Aproxymeo, zgodnie z poleceniem pułkownika Towwe, nie zabrał był żadnego munduru i dysponował teraz jedynie odzieniem cywilnym. Zważywszy, że Smith chodził w dżinsach i T-shircie, sam ubrał się podobnie. Wyjąwszy strażników przy wjeździe do doliny i w recepcji głównego budynku, nikt tu nie obnosił się z szarżami. Sam ów budynek wyglądał na opustoszały, mijali niewielu ludzi, panowała cisza niemal zupełna. – Wkrótce się to zmieni – skomentował Smith pytające spojrzenie Aproxymeo.

Gabinet doktora Acka mieścił się przy toaletach dla personelu. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki. Smith zapukał, wsunął głowę, cofnął się i wepchnął Javiera, jak się wpycha zwywanych na dywanik chuliganów do gabinetu dyrektora szkoły.

Doktor Ack to była kobieta. Podniosła się na moment z fotela za biurkiem, by podać dłoń Aproxymeo: była odeń niższa o dobre półtorej głowy. Javier posłusznie usiadł na jej roztargnione skinięcie. Rozmawiała przez telefon. – ...Widziałam go u Brusmarcka. Nic takiego nie mówił. ...Że co?

Kto? To w ogóle nie jest mój pion, może pisać do usranej śmierci. ...A to dobre. A to świetne. To genialne. Przecież szło przez Departament Stanu! Komisja tego na oczy nie widziała. Jak ja mogę przesłać im kopię sprawozdania? Sprawozdania z czego? Mnie nie ma, ciebie nie ma. Dwadzieścia milionów w UNICEF, dwadzieścia milionów w fundusze federalne. Harvey przebiłby mi serce kołkiem. ...Obchodzi mnie to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Jest papier? Jest. Jest forsa? Jest. Są terminy? Są. Więc? ...A proszę bardzo, powtórz mu. – Z pewnością przekroczyła pięćdziesiątkę; i nie maskowała tego. Siwe włosy zebrane miała w kok, na nosie tkwiły okulary w rogowej oprawie, o bardzo grubych szklach. Rozmawiając, pogryzała orzeszki z ustawionej przy klawiaturze miseczki.

– Javier Aproxymeo? – spytała retorycznie, odłożywszy słuchawkę. Zdjęła okulary i uśmiechnęła się promiennie. Babcia z reklam proszku do prania, pomyślał Aproxymeo, odpowiadając uprzejmym uśmiechem.

– Justus mówił mi, że konie cię lubią, dobrze sobie radzisz... Powiedz mi – przegryzła kolejny orzeszek – czego się spodziewasz?

– Nie wiem. Zupełnie nie mam pojęcia. Dobiliście mnie tym Tolkienem, m'dam.

– Prawda? Daje do myślenia. Cóż. Czas by odkryć karty. Niestety, już mnie nie bawi odstawanie tych przedstawień, jak niegdyś. Bardzo ładnie wyszedłeś na testach, Haswartwi też ma spore nadzieje; tylko ten profil psychologiczny coś niezbyt wyraźny, ale pewnie sugerują się dzieciństwem, bo z Rorschacha i wywiadu nic takiego nie wynika; zakładam, że nam nie ześwirujesz.

– Postaram się, m'dam.

– No. Niezmiernie mnie to cieszy. Dostaniesz dzisiaj słownik, podręcznik Glücka, podręcznik Haswartwiego, pełny tekst wszystkich raportów, to jest szesnaście tomów z aneksem, nie licząc kompendium Chenów, atlas, zestaw Glückowych kaset do ćwiczenia wymowy... o, tu masz listę. Naukę z Haswartwim zaczniecie natychmiast, będę nalegać na wysokie tempo; nie próbowaliśmy jeszcze tego z nikim i nie wiemy, jak pójdzie, jest was na razie pięcioro, Haswartwi przyleci jutro. Poza tym zwykłe treningi, na konikach też sobie jeszcze pojeździsz... Może uda nam się ściągnąć Kromadera, będziecie mieli możliwość zapoznania się z jeszcze innym punktem widzenia. No tak. – Znowu orzeszek, znowu uśmiech. – Ale widzę, że tylko notujesz sobie w myśli nazwiska i klniesz mnie w duchu w żywy kamień, co? Wybacz. Szczegóły sobie wyczytasz; teraz natomiast czeka mnie pogawędka wprowadzająca. Jesteś pierwszy od trzech lat, pierwszy w tym naborze; mieliśmy tu za demokratów mały zastój, jak już się zapewne zorientowałaś.

– Zdaje się, że ratyfikowaliśmy jakąś konwencję, która zakazuje stosowania tortur, także psychicznych.

– Poczęstujesz się?

– Solone?

– Yhmy.

– W takim razie – z przyjemnością. Choruję od zdrowej żywności.

– Czy tobie, młodzieńcze – zaśmiała się Ack – nie dostarczył ktoś przypadkiem mojego profilu psychologicznego? Gdzieś ty był, gdy marnowałam swą młodość?

– Surfowałam na nocniku.

– A to ci dopiero gentleman! Może jeszcze parę komplementów, no słucham, słucham.

– Dobre te orzeszki.

– Prawda? Weź, weź.

Wziął całą miskę.

Doktor Ack zaczęła się śmiać i nie mogła przestać. Patrzyła przez grube szkła na Aproxymeo, który siedział przed jej biurkiem z nogą założoną na nogę i beztrudnie chrupał orzeszki. Aż jej oczy zaczęły łzawić i musiała zdjąć okulary i wysiąkać nos.

– Mój Boże – sapnęła. – Kocham tę robotę.

– Jaką, jaką?

Powtórnie wysiąkała nos i nałożyła okulary.

– No więc – westchnęła – rzecz polega na tym, że mamy przejście do baśni.

– To jakaś miejscowość?

– W pewnym sensie... To znaczy, faktycznie jest to nazwa miejsca: Baśń. Z dużej litery. Tak się przyjęło, bo też na początku byliśmy zdezorientowani. Z tym, że to cały świat.

– Co?

– Baśń. Czytałeś przecież te książki.

– Ma pani na myśli świat równoległy?

– Czy on jest równoległy, czy prostopadły, czy ukośny, cholera go jedna wie. Nikt tego nie potrafi wytłumaczyć; a raczej, owszem, tłumacza, ale każdy inaczej i żaden przekonująco. Czym by to nie było, mamy doń przejście. Precyzyjniej: miewamy. Haswartwi je otwiera. Czarami. Haswartwi to czarodziej. Rozumiesz, co mówię?

– Tak, tak; proszę dalej – mruknął Aproxymeo wybierając kolejny orzeszek.

– Wprost kocham tę robotę – pokręciła głową doktor Ack. – Namierzyliśmy go przed siedmiu laty w Hongkongu. Robił fortunę na stręczycielstwie. To znaczy – nie prowadził żadnego burdelu, skądże. Pobierał jedynie opłaty – a szło to w dziesiątki tysięcy dolarów – za ułatwienie klientowi kontaktu. Mówię teraz jego eufemizmami. W praktyce wyglądało to tak, że facet przychodził, precyzował, o którą kobietę mu chodzi – mogła to być mężatka, mogła zakonnica, bez różnicy – płacił, a Haswartwi szedł do niej, rzucał urok i stawała się marionetką w rękach napalonego bogacza. Zabawne, bo zauroczone nie zapadały automatycznie na amnezję i pamiętały wszystko, gdy urok przestawał już działać; w ten sposób poznało się kilkanaście małżeństw. Zresztą, żeby być uczciwą, kobiety też płaciły. W każdym bądź razie – Haswartwi padł ofiarą własnego sukcesu, plotki naprowadziły nań chiński wywiad, który chciał użyć metody Haswartwiego do werbunku agentów. Przez jakiś czas nawet współpracowali, ale nagle Haswartwiemu zrobiło się za ciasno w serdecznym uścisku złotego brata, próbował zwiać, była masa trupów; w końcu zjawiał się w naszym konsulacie. Za pełną ochronę i inne, mhm, usługi przehandlował nam Baśń. Wciąż wszystko jasne?

– Jak Księżyc w pełni.

– Okay. Program ruszył sześć lat temu. Lecz wkrótce zmieniły się wiatry i musieliśmy, mhm, zawiesić go. Teraz od nowa idą fundusze i od nowa się rozkręcamy, werbujemy nowych ludzi do przetrzucenia w Baśń.

– Zwiad?

– Poniekąd. To znaczy – już nie. Teraz posyłamy ich w konkretnym celu. Widzisz, Javier, Haswartwi, jak sam o sobie mówi, nie jest żadnym mistrzem magii a taki czar przejścia to nie byle co; rozkłada go za każdym razem na parę dni. Póki więc nie znajdziemy sposobu na utrzymanie stałej, szerokiej bramy, nie ma mowy o jakichkolwiek zakrojonych na większą skalę działaniach. A sposób taki jest. Haswartwi twierdzi, iż na odpowiednio silnym operatorze mógłby zamrozić ten czar w kłatwę. Zna kilka rodzajów takich operatorów, ale praktycznie jedynym wchodzącym w grę są tak zwane „guzy bólu” – tłumaczenie jego.

– Chodzi zatem o zdobycie magicznego artefaktu.

– Otóż to.

– Święta misja, śmiałkowie posyłani na zagładę, przygoda i heroizm, krew i łzy, w Śródziemiu nigdy nudno.

– Dokładnie, dokładnie; chwytasz klimat, Javier – pokiwała głową. – Takie są warunki wymuszone przez sytuację. Nie jesteśmy w stanie, dysponując jednym przeciętnym magiem, zorganizować niczego

więcej ponad takie poszukiwania prowadzone przez siatkę sukcesywnie przerzucanych agentów terenowych.

- Ilu już przerzuciliście?
- Z drugiego naboru? Jeszcze nikogo.
- A z pierwszego?
- Kilkudziesięciu.
- Wszyscy wrócili?
- Większość.
- Większość?
- Jedz te orzeszki, jedz. Paru zginęło. Utrzymujemy tam też stałą placówkę.
- A kto to jest Kromader?
- Krasnolud.
- Mógłbym wiedzieć, czego właściwie jest pani doktorem?
- Psychiatrii.

## Dane operacyjne

Wynikało to z faktu, iż na samym początku wzięto sztuczki maga za rodzaj hipnozy, omamów zmysłów, a jego samego wręcz za wariata; Ack była zatem pierwszym człowiekiem przydzielonym do sprawy. Dotąd nie dała się z programu wykluczyć i nie wyglądało, iż stanie się to w przyszłości.

Ponieważ xotha było pismem ideograficznym o przyporządkowaniu sylabicznemu, nazwisko Haswartwiego powinno się w transkrypcji na angielski zapisywać następująco: HasWarT'wi. Odpowiednio Kromader figurował w przekazanych Aproxymeo opracowaniach jako KroMaDer. Ilość sylab świadczyła o szlachectwie, zaznaczał HasWarT'wi, i odsyłał do tuzina innych paragrafów. Javier przekartkował szybko słownik. A(p)RoSyMeO: Nad Domem Piszę Mgła Idąc lub Nad Domem Wieczny Nikt Idąc lub Nad Domem Wieczna Mgła Idąc lub Nad Domem Piszę Nikt Idąc.

W skompilowanym przez komputer z danych cząstkowych atlasie Baśni znajdowały się mapy obejmujące jedną czwartą powierzchni wszystkich lądów Dnia. Noc pozostawała praktycznie nieznaną. Javierowi rzuciły się w oczy obszary pustynne występujące na wszystkich kontynentach Dnia; a było tych kontynentów trzy: Pięść (zwana też Dłonią), Ryba i Na Odwrot. Komputer nie wykluczał możliwości, iż Ryba i Na Odwrot łączną się ze sobą gdzieś za Terminatorem.

Kilkudziesięciostronicowe wprowadzenie do atlasu w rzeczywistości stanowiło skrócony kurs astrografii Baśni. Planeta posiadała najwyraźniej okres obrotu wokół osi równy okresowi obiegu dokoła gwiazdy, stąd istniał na powierzchni globu trwały podział na półkulę przysłoneczną oraz odsłoneczną; kąt nachylenia płaszczyzny jego orbity do ekliptyki nie przekraczał natomiast pół stopnia. Konsekwencje tych keplerowych wariacji były trudne do przecenienia, w rzeczy samej ustawiło to z góry całą cywilizację Baśni; problemowi poświęcony był oddzielny tom owego szesnastotomowego opracowania powstałego ze zsumowania wszystkich raportów dotychczasowych wysłanników Doliny.

Wnioski można było jednak wyciągać już z samego atlasu. Istniał równoleżnikowy (licząc od bieguna ciepła) podział klimatyczny Dnia, na – w zależności od oddalenia od jego „równika” – Południe, Sjęstę, Wieczór i Zmierzch. Nazwy te stanowiły nieco kulawe tłumaczenia kolokwializmów w xotha i Aproxymeo od razu uderzyła prosta implikacja faktu stosowania przez tubylców podobnej nomenklatury: oni pamiętali zmiany dnia i nocy; w każdym razie ich język pamiętał. Javier zajrzał od razu pod odsyłacze – lecz trafił tylko na mętne legendy. A przecież mieli swoją różę wiatrów, z północą, południem, wschodem i zachodem w xotha – jednak cztery, cztery podstawowe kierunki, nie pięć i nie

dziesięć, i nawet z punktu widzenia astrografii prawidłowo zorientowane. Krył się w tym jakiś sekret.

Za mapami znajdowała się w atlasie część poświęcona chronomastyce Baśni. Brak cykli dobowego oraz rocznego pozbawiał jej mieszkańców jakiegokolwiek naturalnego zegara astronomicznego. Cykle biologiczne organizmów zwierzęcych oraz cykle wegetacyjne roślin trwale rozsprzęgły się. Ludzie mieli własny czas, krasnoludy własny, elfy zapewne również – ale brakowało spójności także w obrębie gatunku i rasy. Poszczególne kraje, prowincje, nawet miejscowości – żyły w oddzielnych czasach. Na Rybie i na Na Odwrót (co do Pięści brakowało wiarygodnych relacji, ale przypuszczano, że również tam) cykle życia różnicowała między innymi płeć. Istniał zatem czas męski i czas żeński. Inna była pora snu kobiety, inna mężczyzny; chłopiec, osiągając dojrzałość, przechodził z cyklu matki w cykl ojca. Występowały także zróżnicowania czysto wiekowe, jak na przykład cykl starości: ludzie starzy, potrzebując mniej snu, rozciągali swe okresy czuwania ponad proporcję fazy aktywności i fazy odpoczynku ludzi młodych. I tak dalej, i tak dalej.

Fizykalny podział czasu narzucony został całkowicie sztucznie, dekretem Xoth, i stopniowo przyjął się również poza granicą strefy jego bezpośrednich wpływów. HasWarT'wi, przekładając system na angielski, użył następujących nazw: rok dzieli się na dziesięć dekanów, dekan na pięć pentanów, pentan na sto rys, rysa na sto setni, po sto sekund każda. Oczywiście nie były to ziemskie sekundy. Zwiadowcy obliczyli ryse na około dwie godziny i dwadzieścia cztery minuty; stąd sekunda Baśni okazywała się osiemdziesięcioma sześcioma setnymi sekundy Ziemi.

Baśń posiadała księżyc, a w każdym razie takie panowało wśród jej mieszkańców powszechne mniemanie, bo mało kto go widział, a już żaden z agentów. Skłonni byli oni wpisać go w mitologię, gdyby nie psychologiczna niewiarygodność takiego mitotworu, wyobrażonego na podobieństwo obiektu astronomicznego, którego na Baśni nikt nie miał prawa znać. Może więc kiedyś w przeszłości ten księżyc faktycznie posiadali, lecz go utracili; nie było to jasne.

Z kolei zajrzał Aproxymeo do podręcznika autorstwa niejakiego A. Glücka. Rzecz okazała się czymś w rodzaju instrukcji obsługi słownika i kaset z nagraniami xotha, a zarazem przewodnikiem po kulturze Baśni; Glück, jak oznajmiał skąpy wstęp, był pierwszym agentem Doliny przerzuconym do Baśni.

Szesnastotomowa encyklopedia Baśni zaczynała się analizą wyników badań DNA zwierząt i roślin Baśni; także DNA ludzi i krasnoludów, w tym HasWarT'wiego i KroMaDera. Rysunki symulowanych drzew ewolucyjnych zajmowały całe strony. Aproxymeo oglądał to z zamętem w myślach. Coś tu jest nie tak, szeptała mu podświadomość. Nie można przecież ważyć, mierzyć i kroić marzeń sennych.

Otworzył podręcznik HasWarT'wiego. *Magia*, pisał HasWarT'wi, *jest poezją czynów. Magia to droga na skrót od duszy do ciała. To wspomnienie z dzieciństwa wszechświata. Jest to prawo Boga i tajemnica wszelkiego bytu.*

## Gdyby Siedem Słońc

Przyszedł nazajutrz tuż po świcie. Obudził Aproxymeo pukając w drzwi. Aproxymeo otworzył mu ledwo naciągnąwszy szorty. Tamten był w białym garniturze i słomkowym kapeluszu; w drzwi stuknął był najwyraźniej tą laseczką o rączce w kształcie orlej głowy, którą teraz uderzał się rytmicznie o łydkę.

– HasWarT'wi – przedstawił się, czyniąc lekki ukłon i uśmiechając się do Javiera bez rozchylania warg, jakby przepraszająco.

– Javier Aproxymeo...

– Wiem.

– Pan wybaczy, moment, która to godzina...?

– Ach, która godzina...

HasWarT'wi machnął laseczką i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Aproxymeo wzruszył ramionami i zniknął w łazience. HasWarT'wi rozsiadł się w fotelu. Kapelusz zdjął i położył na stoliku podokiennym, starannie centrując go na samym środku blatu. Laskę przełożył prostopadłe przez uda. Dłonie zaplótł na podołku. Siedział w bezruchu. Tylko na szum prysznica przekrzywił lekko głowę. Wychylające zza stoków doliny słońce wstrzeliwało się do pokoju przez okna poziomymi słupami blasku, malując wokół postaci mężczyzny drżącą aureolę światła. Szpakowate włosy zaczesane miał do tyłu, co odsłaniało wysokie czoło z zakolami; czarny zarost krył górną wargę i podbródek. Nie mrużył teraz oczu; posiadały one tę nieokreśloną barwę morskiej toni, czasami błękit, czasami zieleń, czasami szarość. Był mocno opalony, lecz opalenizna ta nie uwypuklała jego zmarszczek. W rysach twarzy miał coś hinduskiego, tę smagłość policzków, tę ostrość garbatego nosa, głębię oczodołów. Splecione w kołyskę palce wydawały się nadnaturalnie długie, nawet jak na pianistę czy chirurga – czy maga.

Z łazienki wyszedł Aproxymeo wycierający ręcznikiem krótkie włosy. Przysiadł na krześle naprzeciw HasWarT'wiego.

– To jakaś loteria z tym prysznicem, raz tak, raz tak... – mamrotał. – Więc pan ma mnie uczyć czarów, co?

– W istocie. Pana i czworo pozostałych. Czy widział pan harmonogram? Powinniśmy się uwinąć w siedem miesięcy.

– To dużo, czy mało?

– Zależy, co pan ma na myśli. Na Raavie przez pierwsze trzy lata uczyłby się pan sztuki koncentracji, przez trzy następne czystych figur umysłowych. Ale wy tu macie inny czas, inną jego szybkość; widziałem już, jak uczycie się xotha w parę tygodni.

– Pan też świetnie mówi po angielsku, żadnego akcentu.

– Doprawdy?

Aproxymeo odrzucił ręcznik; wyjął i wciągnął podkoszulek.

– Są tu chyba jakieś ograniczenia – rzekł. – Dlaczego akurat ja?

– Oczywiście, że są. Ograniczenia przede wszystkim.

– Więc dlaczego?

– Bóg jeden wie. Pan ma odpowiednie predyspozycje.

– To znaczy jakie?

– Przekona się pan.

– To pan był po drugiej stronie tego lustra w Białym Pokoju?

– Po drugiej stronie lustra; tak. Nie mają nikogo innego do przeprowadzania selekcji. Trwało to chyba rok.

– I pięćdziesiąt procent... Nie jest to wysoki procent.

– Bardzo wysoki. Podaj mi teczkę.

Aproxymeo podał mu.

– Widzisz? – uniósł brew HasWarT'wi podczas gdy teczka rozpływała się w rzadką mgłę. – Czułeś jej ciężar? Czułeś dotyk papieru? Podniosłeś ją i podałeś. Ja ci tej iluzji nie rozszerzyłem poza wzrok, sam się zasugerowałeś.

– Czego to dowodzi? – parsknął Aproxymeo, odruchowo wycierając wewnątrz prawej dłoni o udo. – Chyba tylko mojej podatności na hipnozę.

– Dlaczego nie chcesz zostać magiem? Innych to pociąga. Każdy śni o potędze.

– Rzeczywiście. Chyba przemawia przeze mnie przekora.

– Zabiłeś kiedyś kogoś?

– Nie. Co to ma do rzeczy?

– Zmarli potrafia przeszkodzić. Chociaż tutaj macie bardzo gruby mur. – Wstał. – Proszę przeczytać

podręcznik. Jutro zaczniemy. Radzę nie pić alkoholu. Powinien pan sobie poradzić; tak, myślę, że pan sobie poradzi. – Nałożył kapelusz.

– Co to jest: Raava? Nie przypominam sobie z map. Pana ojczyzna?

– Ojczyzna? – HasWarT'wi przystanął w progu. – Tak; ojczyzna. Widzi pan, ja w Baśni jestem dopiero teraz.

## Pięcioro z Doliny

Spotkali się w stajni u Dethewa. Czterech mężczyzn, jedna kobieta. Justus wziął na siebie obowiązek wzajemnego przedstawienia ich sobie. Janice Igglestone-Yax. Javier Aproxymeo. Carl Oddstone. Lou Gaspari. Terrence McFlagg. Uścisnęli sobie dłonie. Wszyscy przyszli ubrani po cywilnemu i nie wymienili swych stopni. Wszyscy byli biali; w Baśni nie ma Murzynów. Wszyscy mieli zostać magami.

Janice była niska, grubokoścista, bardzo brzydka. Okazało się, że jest pilotem bombowców strategicznych. Klęła jak szewc. Javiera zwymyślała od męskich szowinistycznych świni, gdy próbował jej pomóc przy wsiadaniu na konia.

Oddstone był najstarszy z nich wszystkich. Chudy jak szczapa wielkolud w ciemnych okularach. Palił papierosy i milczał.

Gaspari z kolei był z nich prawdopodobnie najmłodszy. Służył na atomowej łodzi podwodnej, jako sonarzysta. Wciąż paliła go gorączka wielkiej przygody. Paplał bez przerwy. Tajna operacja! Obcy świat! Magia! Niech się Hollywood schowa.

Terrence McFlagg od razu podszedł do Aproxymeo. Był łysy jak kolano i bez przerwy uśmiechał się złośliwie. Potem okazało się, że jest z wykształcenia meteorologiem, i że wołają go z ksywy: Kojak. Tego ostatniego zresztą domyśleli się sami.

– Był już u ciebie? – spytał.

– Kto?

– HasWarT'wi. Był?

– A jak. Kapelusz, laseczka, garnitur. Włożył bładym świtem.

– No właśnie. Odstawił ci tę sztuczkę z papierośnicą?

– U mnie to była teczka.

– Cholera, ty myślisz, że to prawda?

– Co?

– No te czary.

– Rozmawiałeś z Ack.

– Baba jest szalona. Pytam się ciebie, bo już nie wiem, co myśleć. Cholera by z nimi. Co to ma być; jakieś guzy bólu... niechby... Co byś powiedział, gdyby się okazało, że to jedna wielka mistyfikacja, takie testy psychologiczne; może dają nam coś w jedzeniu.

Aproxymeo pokręcił głową.

– Czemu? – skrzywił się McFlagg.

– Szesnaście tomów z aneksem. Xotha. Takich rzeczy nie da się wymyśleć. Poza tym byłyby to środki rażąco nieproporcjonalne do celu.

– Więc wierzysz w to?

– A co tu jest do wierzenia? Na razie wszystko namacalne.

Justus Dethew urządził im potem egzamin do szkoły jeździeckiej. Spadli wszyscy oprócz Aproxymeo i Oddstone'a, który okazał się starym kowbojem. Dethew polecił mu przegalopować przez dolinę. Potem zwolnił z dalszych ćwiczeń. Oddstone zamarkował salut i odszedł wielkimi krokami.

Igglestone-Yax zsiadając zaplątała jakimś cudem nogę w strzemieniu, spadła i skrzyła sobie kostkę. Koń stał jak pomnik i tylko patrzył z wyrzutem. Skłęła wszystkich równo, gdy przybiegli jej pomóc.

## Czempion

O trzynastej trzydzieści miał spotkanie w górnej sali gimnastycznej z niejakim B. Kowalskim. Zgłosił się prawie kwadrans wcześniej. Kowalski już był. Czyścił czarne klingi mieczy.

– Javier Aproxymeo?

– Tak.

– Ten od kendo?

– Aha.

– Mam nauczyć cię, jak nie dać się zabić w Baśni. Bierz bambusa i złój mi skórę.

Javier podszedł do stojaka. Były to zwykłe miecze ćwiczebne, może tylko nieco cięższe. Rzucił drugi Kowalskiemu.

Kowalski był boso, w spodniach od dresu i T-shircie z nadrukiem: **Pearl Jam**. Lewe oko miał sztuczne, brakowało mu dwóch palców u lewej ręki, kawałka lewego ucha; kulał. Przez jego twarz biegła nie do końca zamaskowana chirurgia plastyczną blizna.

– No – zachęcił Javiera. – Dalej.

Aproxymeo uderzył nie przybierając pozycji. Czubek miecza Kowalskiego trafił go w grdykę. Javier, krztusząc się, skoczył i potężnie zdzielił tamtego przez żebra. Kowalski stęknął, podciął Aproxymeo i przyłożył mu bambus do gardła. Javier już tylko charczał.

– Chwali ci się wytrzymałość – sapnął Kowalski – ale i tak jesteś już trup. Złych nawyków nabrałeś przez to kendo. To bardzo sformalizowana sztuka walki, niemalże rytuał; a w życiu nie ma żadnych reguł. Walisz, żeby zabić. Tyle. Przynajmniej refleks masz dobry. Przestań pluć; wstawaj i zemścij się. – Podał Javierowi rękę. Javier wykręcił mu ją, złapał nogami w nożyce i założył dźwignię.

– Nie ma reguł, co? – warknął.

– Naogładał się „Wejścia Smoka”, szczeniak jeden, i teraz będzie się popisowywał – zazgrzytał Kowalski. – Puszczaj.

Masowali potem swoje obolałe miejsca.

– Co to jest to „B.”? – spytał Aproxymeo.

– Bernard.

– Byłeś tam?

– Wszedłem tuż po Glücku.

– Dali ci etat instruktora, boś taki poharatany? Dla przestrogi uczniów, czy jak?

– Ohoho, jaki hardy. Bierz tego kija.

Przez następny kwadrans pojedynkowali się w milczeniu. W trafieniach wyszli mniej więcej na remis, lecz Kowalskiego były niemal bez wyjątków śmiertelne.

– Jednak coś ci to kendo dało – rzekł Kowalski odkładając bambus. – Posiadasz wycucie ostrza, tę naturalność operowania bronią niczym sztywnym przedłużeniem ramienia; a to przychodzi tylko z doświadczeniem, tego ich nie nauczę. Masz jeszcze wprawę w czymś poza mieczem?

– W strzelaniu.

– Z łuku?

– Broni palnej, broni palnej – prychnął Javier. – Z tym łukiem to serio?

Kowalski zaprowadził Aproxymeo pod ścianę z orężem. Wskazał na łuki o ciemnych, wielolistwowych łączyskach, z naciągniętymi cięciwami.

– Co to za materiał? – zainteresował się Javier.

– Cholera ich wie. Robili na zamówienie, Ack skądś wyciągnęła. Technologia kosmiczna. Włókna węglowe, polimery, tytan, silikon. Nie traci elastyczności. Naciąg regulowany wbudowanym procesorem. I te miecze. – Wyjął jeden z pochwy; czarna, matowa głownia pochłaniała światło. – Nie tępi się, nie trzeba ostrzyć. Do złamania mało byłoby walca. Wyważenie komputerowe. Rękojeść jest jeszcze niewygodna, bo modeluje się je indywidualnie, podług wzorca uścisku dłoni właściciela. Można blokować w pochwie na kod linii papilarnych.

Aproxymeo wypatrzył noże. Wyjął jeden. Zrobiony był z tego samego materiału. Szerokie, niezbyt długie, symetryczne ostrze, brak jelca. Podrzucił kilkakrotnie w dłoni.

– Można?

– A proszę bardzo.

Cisnął nim w ścianę.

– Nieźle.

– Dobry jesteś w nożach?

– Tego się uczyłem jeszcze przed kendo. I faktycznie bez żadnych reguł.

– Nie krępuj się. Tu wszystko do waszej dyspozycji.

Aproxymeo wyrwał nóż ze ściany.

– Ale dlaczego – spytał ssąc kciuk, którym sprawdził ostrość klingi – nie można poprzestać na pistolecie czy karabinie? Kamuflaż posunięty jest aż do tego stopnia? Bez sensu. Kula zawsze szybsza od noża czy strzały.

– Jeszcześ nie doczytał? Na Baśni odkryli proch już dawno temu. Ale mieli potem przezeń parę wyjątkowo krwawych wojen i zaczęli kłaść gdzie popadnie kłatwy przeciwprochowe. Trudno przewidzieć, gdzie wystrzeli. W mieście lub na trakcie na pewno nie.

– Odkryli proch? – zdziwił się Javier. – Coś niezbyt baśniowa ta Baśń. I co jeszcze?

– Podczas mojego pobytu zabierali się właśnie za budowę sterowców.

## Dane operacyjne

Przeczytał podręcznik HasWarT'wiego, potem od razu zabrał się za Glückę.

*Wy też macie swoją magię, pisał HasWarT'wi. Czy wiesz, dlaczego żarówka świeci? Czy znasz schemat i zasadę budowy reaktora jądrowego? Czy potrafiłbyś wytłumaczyć dziecku fizykę silnika spalinowego? Albo matematykę sieci komputerowej, języków maszynowych, teorii chaosu? Wątpię. A czy w jakikolwiek sposób przeszkadza ci to korzystać z praktycznych zastosowań tych Tajemnic? Czy w ogóle mowa tu o wierze? Czy wierzysz w rozpad atomu? Już jako dziecko naciskałeś kontakt – i zapalała się lampa. Nie uciekałeś z wrzaskiem. A wszak pomiędzy naciśnięciem guzika a zapaleniem lampy miałaś jedynie Tajemnicę. Twoje demony zwą się: „elektryczność”, „fizyka”, „chemia”. Twoje czary tłumaczą sobie nawzajem specjaliści z uniwersytetów; bo nie tobie, ciebie to nawet nie interesuje, nawet nie próbujesz zrozumieć, nie ma takiej potrzeby. Lecz gdyby nagle zabrano wam tych wszystkich specjalistów – czy przez to technika stałaby się automatycznie magią? Czy samo powszechne mniemanie o aktualnym braku wyjaśnienia dla typu zachodzących zdarzeń stanowi rację wystarczającą dla zepchnięcia ich w dziedzinę zabobonu, przesądów i guseł? Nie. Żarówka tak samo świeciłaby zapalona przez dwoma tysiącami lat. Niemożność dostrzeżenia bezpośrednich związków przyczynowo-skutkowych nie świadczy o niczym, prócz naszej ignorancji. Absurdem jest sądzić, iż poznało się już absolutnie wszystkie reguły rządzące światem. Magia Raavy jest magią jedynie dla was. Dla mnie magią była technika waszego świata, dopóki nie przekonano mnie o racjonalności*

leżących u jej podstaw zasad nauki. Fakt, że my na Raavie nauczyliśmy się stosować z korzyścią dla nas zasady funkcjonowania naszego świata przy równoczesnej nieznajomości tych zasad – fakt ten przecież nie oznacza, że zasad owych w ogóle nie ma i że brak naszym technikom racjonalności. Bombę atomową budowaliście, zanim jeszcze poznaliście wszystkie odpowiednie prawa; czy w Projekcie Manhattan uprawiano zatem czary? Ja, mówiąc w przenośni, nauczę was jeździć samochodami, latać samolotami, używać komputerów – dla wyjaśnienia zasad działania których brak jeszcze specjalistów. I to jest magia. Spryt zwierzęcia, które nie przebiega przez autostrady; instynkt latających za trawlerami mew; przystosowanie kotów i psów domowych: gdzie kran, gdzie lodówka, co oznacza dzwonek, kiedy można wyjść, co się stanie, gdy zaszczekam. Ale mieszkanie nie należy do nas.

W xotha słowo „śmierć”, pisał Glück, zobrazowane jest dwoma ideogramami, odczytywanymi sylabicznie jako Druga Nieskończoność. Chodzi tu o śmierć w znaczeniu ciągłym. Śmierć jako natychmiastowa zmiana stanu, czyli zgon, to Zguba Ciała. Trzeba, byś wiedział nim rozpocznesz naukę: język jest chorobą zakaźną. Nie sposób nauczyć się mówić, nie ucząc się myśleć. Sprzedaję ci tu nie tylko mowę; sprzedaję ci cały świat. W Baśni nie ma tak nieprzepuszczalnej bariery pomiędzy życiem a śmiercią, jaka występuje na Ziemi. Tam istnieje realny kontakt z rzeczywistością eschatologiczną. Zmarli wpływają na życie żywych; żywi wpływają na życie zmarłych (jest na to „życie” słowo w xotha: „llox”; idiom). Aktualnym kanclerzem FMK jest nieżyjący od ponad osiemdziesięciu lat Baśni NorHasUNor. Wybierają go na kolejne kadencje, bo dobrze sobie radzi; fakt, iż jest martwy, ma znaczenie drugorzędne, idzie o zysk, a on im zysk zapewnia. Przytaczam ten przykład, bo jest wręcz symboliczny. Zapomnij o cmentarzach. W Baśni nie ma cmentarzy; nikt się nie modli nad zwłokami, bo tam wiedzą, że to tylko mięso, a zmarły lloxis (czas terażniejszy ciągły od llox; koniugacja IIIB) gdzie indziej. Procedury sądowe Kodeksu Karnego Xoth i pochodnych dopuszczają warunkowo jako dowód w procesie oświadczenie złożone przez zmarłego. Kodeks Handlowy Xoth wymienia zmarłych wśród osób prawnych kwalifikowanych jako podmioty prawa handlowego; co prawda zmarli posiadają praktycznie zerową wiarygodność kredytową, ponieważ właściwie nie da się na nich wyegzekwować odpowiedzialności osobistej. Z tej też przyczyny, jak i dla możliwości wywierania ogólnego wpływu na zmarłych, żywi wynajmują spośród nich – a zwykle chodzi o byłych żołnierzy – tropiciele po Drugiej Stronie. Najem odbywa się zazwyczaj pośrednio, na zasadzie scedy honorarium: zmarły godzi się wykonać w Drugiej Stronie to a to, a pracodawca płaci wskazanym przez najemnika członkom jego rodziny, ewentualnie przyjaciołom itp. Rozgrywki polityczne sięgają Domów Wieczności (patrz -> Ideomapy Drugiej Strony). Inny aspekt śmierci przejawia się w orzecznictwie sądów karnych Baśni. Nie istnieje kara śmierci. Praktycznie wszystkie większe przestępstwa karane są torturami, zarządzanymi podług tzw. Księgi Bólu, gdzie wyliczono gradacyjnie wszelkie możliwe fizyczne i psychiczne cierpienia. Owszem, w Księstwie Paalu, Ingidy i Karcelnomeru, w wyniku swoistego sądu skorupkowego, można zostać skazanym na śmierć, jest to jednak pojmowane właśnie jako forma wygnania; zabija się bezboleśnie. W ogóle tortury uważane są za dziedzinę medycyny stosowanej. Jeśli chodzi o morderstwa, to zdecydowanie przeważają te w afekcie; po prostu nie ma sensu mordować dla spadku, ponieważ śmierć nie wyrugowuje zabitego z jego praw własności; premedytowane mordy nie mogą pozostać nieujawnione, ani nieznanym ich sprawcą, ponieważ sam zamordowany w takich przypadkach domaga się gromko sprawiedliwości. Oczywiście, jak zawsze, istnieją kontrsposoby. Można zabić takim podstępem, z którego sama ofiara aż do zgonu (a, co za tym idzie, i potem) nie będzie zdawać sobie sprawy. (Kto wsypał mi tę powolną truciznę do wina podczas balu rok temu? Nie do odkrycia). Można też wpłynąć na zmarłych czarami. Istnieje dziedzina magii, nazwijmy ją tu nekromagią, (która wszelako nie ma nic wspólnego z nekromancją, bo magia rezurekcyjna to zupełnie inna para kaloszy), pozwalająca

*podporządkowywać zmarłych żywym, aż do pełnego opętania lub dezintegracji osobowości; zmarli bowiem nie są w stanie posługiwać się czarami. Szczegóły – w raportach i pracy HasWarT'wiego.*

Sprawdził, co znaczy akronim FMK. Federacja Miast Kupieckich, wyjaśniała encyklopedia Baśni; FMK stanowi ichni odpowiednik Hanzu. Nadmorskie miasta zgrupowane w FMK praktycznie zmonopolizowały handel korszetem i zbożem pomiędzy Rybą i Na Odwrot.

Sprawdził, co to korszet. Wydzielina jaundingów, po zmieszaniu z glukozą i sacharozą poddawana magicznej obróbce; systematycznie zażywana w małych porcjach przedłuża życie nawet trzykrotnie. Nadużywana prowadzi do uzależnienia i choroby umysłowej, korszetiliozy.

Sprawdził, co to jaundingi. Gatunek owadów lub skorupiaków (brak wiarygodnych danych z pierwszej ręki) występujący w Rasce, Jotach Południa i dorzeczu Ulgi, żywiący się nartuzą i czarnym anem, rozmnażający się przez nakrzyż z rzęzaczami, prawdopodobnie symbiotyczny z elfim drzewem.

Już nie chciało mu się patrzeć pod nartuzę, czarny an, nakrzyż, rzęzacz, elfie drzewo, i tę Rasę, Joty, Ulgę – przypominało to walkę z hydrą: za każdą odpowiedzią odrastają trzy nowe pytania. Tu trzeba jakiegoś Herkulesa ejdetyzmu.

## Mag

– Zaczniemy więc od ćwiczeń koncentracyjnych. Stopniowo powinienes dojść do takiej wprawy, by móc skryształizować swe myśli nawet niespodziewanie obudzony z głębokiego snu.

– Jesteś telepatą?

– Słucham?

– W jaki inny sposób potrafiłbyś odróżnić zza lustra tych utalentowanych od reszty? Po wyglądzie?

– Ha, telepata. Nie, to po prostu taki mały czar. Na Raavie nic by mi nie dał, bo tam już chyba wszyscy noszą topazy; ale tu bywa pomocny. Wcale nie muszę zaglądać wam do głów, sami siejecie naokoło myślami, uczuciami, wrażeniami. Między innymi tego właśnie chcę cię nauczyć: dyscypliny umysłu. Musisz panować nad tym, co rzutujesz na świat. Tu, na Ziemi, istnieje jakieś naturalne wytłumianie, coś jakby grawitacja przeciwna magii, bardzo silna, krępująca umysły; projekcje na zewnątrz przychodzą wam z trudem, nie ma bezpośrednich związków między myślami a otoczeniem. Mimo to plujecie sobą naokoło. W Baśni więc, w tej nieważkości magii, obraca się to przeciwko wam. Nie trenowałem wcześniej agentów na magów i szli tacy jak ty teraz. No i różnie to bywało. Trzeba wam okiełznać swe myśli.

– Przecież to absurd! Jak można sterować własnymi myślami? Jeśli postanowię, żeby o czymś nie myśleć, to właśnie muszę myśleć o tym, o czym mam nie myśleć, inaczej zapomnę. Równie dobrze mógłbym próbować samemu się złapać za włosy i podnieść ręką w powietrze.

– Co jest do zrobienia.

– HasWarT'wi...

– Nauczę cię.

– Ucz zatem.

– Wyobraź sobie jakiś prosty, jednorodny materiałowo przedmiot. Co chcesz. No. Okay, może być. Teraz wyrzuć z umysłu wszystko inne, zostaw tylko tę szklankę. Żadnych innych skojarzeń, wyobrażeń, wspomnień... Szklanka. Szklanka. Szklanka. Szklanka. Mnie też wyrzuć. Tak. Trzymaj.

– ...

– Trzymaj.

– ...

– Okay, starczy.

- I?
  - Nie wiem, co powiedzieć, Javier.
  - Mhm?
  - Zawstydziliś mnie. Coś takiego za pierwszym razem... Miałaś nawet długi okres prawdziwego aald.
- Ja osobiście doszedłem do niego dopiero po roku ćwiczeń.
- Żartujesz.
  - Javier Aproxymeo, czy chciałbyś zostać moim uczniem?
  - Przecież jestem.
  - Ale czy chciałbyś zostać moim uczniem?
  - Nie, chyba nie.
  - Dlaczego?
  - Musiałbym cię obrazić.
  - Obraż.
  - Tak czy owak – będziesz mnie jeszcze uczył. To nie byłoby mądre.
  - Masz rację.
  - I tak widziałeś.
  - Jasno i wyraźnie. Ale tak łatwo nie zdobędziesz mojej nienawiści.

## Płynie Początek

Zatrzymali się przy strumieniu na drugim końcu Doliny, by napić konie. Kojak i Gaspari zawrócili już wcześniej i Aproxymeo został sam z Justusem.

Popołudniowe słońce oślepiło ich odblaskami w płynącej wodzie. Nie przemęczali wierzchowców i zwierzęta nie były zgrzane, lecz Dethew i tak szybko odciągnął je od strumienia. W odróżnieniu od koni, jeźdźcy spocili się. Było duszno i gorąco. Poodrzutowa biała smuga ciągnęła się za samotnym samolotem przez całe błękitne niebo. Justus ściągnął koszulę i klęknął na brzegu, by się obmyć.

- Czy to są elfy? – spytał Aproxymeo.
- Tak – odparł odwrócony Justus przez dłonie pełne srebrnej wody.
- Glück pisze, że bardzo trudno je spotkać i że brak wiarygodnych świadków.
- Bo brak. W ten sposób wyobrażał je sobie tatuażysta z Xoth.
- Na co ci to było? Taki horror na plecach.
- To trudno wyjaśnić.
- Spróbuj.

Dethew ochlapał sobie włosy, zmoczył koszulę, wstał.

- To trudno wyjaśnić. Porozmawiamy, jak wrócisz.
- Wtedy pewnie nie będzie mnie już interesować.
- Więc nie porozmawiamy. – Z powrotem ubrał koszulę. – Czy znasz to uczucie... gdy oglądasz film i bohater robi nagle jakąś kompletną głupotę: wchodzi do ciemnego pokoju, w którym czai się potwór, wyrzuca do śmieci los, na który padnie wygrana, coś w tym stylu... czy nie klniesz jego i scenarzystę, że robią z widzów idiotów, że ty na jego miejscu... Prawda? Znasz to. Ale ci durni scenarzyści mimowolnie odkrywają pewną podstawową prawdę o życiu. Otóż co innego jest siedzieć w fotelu i obserwować, komentować, wybrzydzać, przewidywać; a zupełnie co innego – wejść do środka i żyć w filmie. Film, jak każda opowieść, już jest komentarzem: nie pokazuje każdej minuty, każdej sekundy nudy i rutyny życia bohatera; selekcja detali określa fabułę, wybór pokazanego szczegółu określa kolejny szczegół. Więc jesteś w stanie, jako widz, przewidzieć następny ruch. Żyjąc, nie masz tego komfortu; przeżywasz

zarówno przypadki w świetle przyszych zdarzeń ważne, jak i tysiące nieważnych; jednak wtedy, w czasie ich zachodzenia, nie jesteś w stanie odróżnić jednych od drugich. Linia fabuły jest przed tobą zakryta, nie tylko przez nieznaną przyszłość, ale przede wszystkim – z powodu braku jakiegokolwiek selekcji terażniejszości.

– A co to ma do Baśni?

– Tam owa dezorientacja jeszcze się potęguje, bo tam – tam nie wiesz nawet, co jest detalem, a co, że się tak wyrażę, gwoździem programu; brak ci skali do przyłożenia, brak stosownego zbioru porównań. Lecz kiedy zaczniesz się w tym cokolwiek orientować, gdy zaczniesz rozumieć... nie możesz potem zapomnieć i wycofać się, odwrócić siłą woli zaszłą w twojej psychice metanoię. Zabierasz Baśń ze sobą.

– Słyszę jakąś gorzką pretensję w twoim głosie.

Justus poklepał konia, wykrzywił się w nieszczerym uśmiechu.

– Oczywiście, rozwód – mruknął. – Teraz, jak przypuszczam, to już nawet nie jest kwestia miłości ani jej wspomnienia; raczej urażonej dumy. Jakże mogła mnie tak rzucić! Pojmujesz? Pretensja jest nie o samo rozstanie, lecz o to, że decyzja o nim należała do niej. Co nie zmienia faktu, że nie potrafię jej wybaczyć.

– Ale – to z powodu Baśni, prawda?

– Tak, tak; Baśni. Wtedy nie byli jeszcze tacy mądrzy, werbunek był cichy i z konieczności mieli ograniczony wybór; brali także żonaty. Powiedziała, że z kim innym wzięła ślub. Że nie przysięgała mnie, ale temu Justusowi sprzed lat. Że przecież nie może być zakładniczką losu; nikt rozsądny nie wymagałby takiego bezwolnego fatalizmu. Wychodzisz za księcia, żyjesz z potworem – czy potworowi przysięgałaś?

– Z dużym przekonaniem prezentujesz jej argumenty.

– Dostrzegam w nich niepodważalną logikę egoizmu. Byłbym hipokrytą przecząc im. Lecz czy nie przyszło jej do głowy, że to ona się zmieniła, i że to jej zmiana jest powodem zerwania?

– Zmieniliście się obydwój. Wszyscy się zmieniają. Wiedziała o tym, gdy składała przysięgę.

– Więc według ciebie – jednak należy godzić się na ów fatalizm?

– Czy rzeczywiście fatalizm? – wzruszył ramionami Aproxymeo. – Zważ na konsekwencje. Pantha rei – płynie, odpływa wszelka odpowiedzialność, poczucie winy, gwarancja zasad i praw w stosunkach międzyludzkich. Jeśli dajesz słowo – to w tym przyrzeczeniu mieści się także zgoda na jego egzekucję również wobec tego przyszłego, jeszcze nieznanego ciebie. Skoro rwiesz ciągłość własnej tożsamości... Jakże w ogóle mogłoby funkcjonować społeczeństwo złożone z jednostek stosujących się do takiej reguły wszechzmiary? Czy chciałbyś żyć w takim społeczeństwie?

– Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z imperatywem kategoriycznym; więcej w nim dziur, niż Kant miał włosów. Zresztą sam pomyśl: cóż za otchłań immoralizmu otworzyłeś. Skoro respektować musimy bezwzględnie ciągłość własnego „ja” i odpowiadać za wszelkie przeszłe decyzje, stosować się do przyrzeczeń – pomimo iż jesteśmy już kimś innym i inne wartości wyznajemy – to nie ma szans poprawy dla żadnego z grzeszników, każdemu raz wybranemu złu musimy bowiem być wierni aż do śmierci.

– Nikt ci nie każe powtarzać raz popełnionych błędów.

– Błędów! – parsknął Justus. – Toż ona właśnie twierdzi, iż małżeństwo ze mną było błędem! Wtedy oczywiście tak nie myślała. Tak samo nie wierzyłybyś mojemu słowu wiedząc, iż w dowolnej chwili w przyszłości mogę je uznać za dane w złej intencji, dla złej sprawy – i tym sposobem samemu się żeń zwolnić.

– Więc co? – Aproxymeo pokręcił głową. – Zgubiłem się.

– Ucz się Baśni – rzekł Justus wsiadając na konia. – Honor jest cechą całkowicie indyferentną pod względem moralnym.

## Hiperwentylacja pamięci

Wkrótce zaczął rozmawiać w xotha z nimi wszystkimi. Rozmawiać – zbyt wielkie słowo. Oni mówili, a on słuchał, rozumiejąc piąte przez dziesiąte (choć z dnia na dzień coraz więcej); a ponieważ była to nauka nie tylko języka, nawet nie przede wszystkim języka – co chwila przerywał pytaniami w xotha, prosząc o podanie synonimów bądź dokładniejsze wyjaśnienia. W efekcie tych rozmów – z Aproxymeo i z pozostałą czwórką – wykształcił się w Dolinie w dialogach pomiędzy nauczycielami a uczniami nowy, przedziwny język, kompilacja angielskiego i xotha z małym dodatkiem mowy gestów. Zmiana proporcji składowych znamionowała postępy w nauce. Aproxymeo, co przyjął bez zdziwienia i nawet bez specjalnego samozadowolenia, znacznie wyprzedził pozostałych. Zaczął słyszeć melodię akcentów i głębię intonacji w ojczystym xotha HasWarT'wiego oraz wyuczonym Dethewa i Kowalskiego. Glück na kasetach mówił z akcentem z Ryby. Wytknął mu to HasWarT'wi, usłyszawszy z ust Javiera jakiś przejęty od Glücka zwrot. Jeszcze nie znasz swojej legendy, rzekł; pilnuj się, byś nie nabył nieodwracalnych nawyków.

Tymczasem pozbywał się starych. – To nie jest sztuka – powiedział mu Kowalski po kolejnym treningu. – To w żadnym razie nie jest sztuka. Nie myśl o walce jako o wyzwaniu, honorowym pojedynku, sprawdzianie umiejętności. W ogóle o niej nie myśl: nie zastanawiaj się, nie planuj, zapomnij o tej możliwości. Banały ci tu sadzę, ale – obyś nigdy nie musiał w praktyce wypróbować wartości mych nauk. Kendo ci tu jednak przeszkadza, bo to niemal szachy ciała i instynktów. Zapomnij. Zapomnij. Poślizgniesz się na gównie i łeb ci utną. Nie warto. – Mówisz: bez zasad? – Tak jest. – I oni tak samo? – A czego cię uczyli w wojsku? Jedyna reguła: bij tylko słabszych; przed silniejszymi uciekaj i uciekaj, póki nie uda ci się doprowadzić do wystarczającego ich osłabienia. – Rozumiem.

Oczywiście, że rozumiał; rozumiał doskonale. Tak się zeruje odruchy człowieczeństwa w łamanych przez psychologów wroga jeńcach; tak się czyści umysły dzieci w algedonicznych treningach; hiperwentylacja pamięci: sukcesywna konwekcja myśli i reguł dotąd głęboko ukrytych.

Problem polegał na tym, że społeczeństwa Raavy nie były społeczeństwami o utrwalonej regule pomocniczości instytucji państwowych; stąd nie istniał nawyk – ani analogiczna formuła rozumowania – zdawania się w jakiegokolwiek dziedzinie życia na jakąś wyższą instancję. Jeśli cię zbój atakuje na trakcie, sam się musisz przed nim obronić, i sam go potem usieczesz w natychmiastowym sądzie; jeśliś popadł w biedę i nie masz co jeść ani gdzie spać, sam musisz wymyśleć, co zrobić, by uchronić się przed śmiercią – zawsze możesz właśnie zbójować na drogach. Przeżycie, przetrwanie pozostaje w Baśni niekwestionowaną dominantą. Chodzi tu o pewną wrodzoną, naturalną dzikość. Amerykanin XX, XXI wieku, choćby się wypierał, nosi zaszczepione gdzieś w swojej świadomości: policję, sądy, opiekę społeczną, szpitale, szkoły... W Baśni czuje się jak niemowlę wyjęte z kołyski.

– Rzecz nie w tym, żebyś był szaleńczo odważny i rzucał się na wszystko z gołymi rękami. Ale jeśli w pierwszym odruchu chcesz uciekać – jeśli, powiadam, taki jest twój pierwszy odruch – to nie zastanawiaj się, nie kalkuluj: wuj. Cywilizacja ruguje nie tylko prawdziwych bohaterów; także prawdziwych tchórzy. Pozostają refleksyjni racjonalisci. W Baśni to gatunek nieznan.

Aproxymeo rzucał nożami w ścianę.

## Dezerterzy

Pewnego dnia przyszedł do niego Kojak. Targał pod pachą jeden z tomów tajnej „encyklopedii” Baśni.

– Czytałeś? – Pokazał Javierowi tabelę na końcu rozdziału i postukał paznokciem w drobnym

drukiem rozpylony u dołu strony przypis.

– Aa, to.

– To. Tobie Ack też się tak wykręciła?

– Że większość wróciła, a paru zginęło; no i Chata Chenów.

– Prawda? A tu co? Zmarli czyli zaginieni! Zaginieni!

– Ale przypis ładny, prawda? Wszystko logiczne.

– Chcesz znać moje zdanie? – wykrzywił się Kojak. – Oni po prostu zdezerterowali.

– Co to znaczy. – Aproxymeo wzruszył ramionami. – Przecież nawet jeśli ich faktycznie zabito, lloxus w Baśni. Dezercja tak czy owak.

Kojak popukał się w czoło i wyszedł.

Otóż całość danych o poczynaniach agentów terenowych w Baśni pochodziła od nich samych, z przesyłanych przez nich Chenom meldunków radiowych. Jeśli więc zdarzyło się komuś umrzeć, za informację o śmierci służył brak informacji: agent się już więcej nie meldował. Problem w tym, że przy takiej procedurze nie sposób odróżnić faktycznie uśmierconych od tych, którzy po prostu przestali składać raporty – zmarłych od dezertów. Co prawda nie wymyślono jeszcze procedury gwarantującej większą precyzję w tym względzie; dysponowali zbyt małą ilością agentów, by tworzyć z nich wieloosobowe grupy, nie wspominając już o ograniczonych mocach HasWarT'wskiego limitujących częstotliwość międzyświatowych przejść.

Łączna ilość zmarłych/zaginionych agentów wynosiła 14.

Przy pierwszej okazji zagadnął Dethewa.

– Rozmawiałem z jednym z nich – odparł ów, zsunąwszy z uszu słuchawki walkmana.

– Powiedział, czemu zdezerterował? W ogóle nie chce wrócić na Ziemię, czy jak?

Justus parsknął przez nos.

– Rozmawiałem ze zmarłym – zaakcentował. – Co do dezercji nie mam pewności, ale nie wykluczam. Zresztą on twierdził, że tylko troje naszych spotkał w Domach. Ale to było jeszcze przed ośmioma kolejnymi zniknięciami.

– Ja się pytam o motywację. Rozumiem dezercję z frontu, w czasie wojny. Rozumiem, gdyby uciekali z Baśni na Ziemię. Ale – tak? Pozbawiają się w ten sposób możliwości powrotu. Chciałbym wiedzieć, co warta tak wysokiej ceny.

– Znowu mnie pytasz o rzeczy nie do opowiedzenia. Czy jakiegokolwiek dziecko uwierzyło swym rodzicom na słowo, że ogień parzy, i nie sprawdziło tego samo choć raz?

– Aż tak?

– Aż tak.

Potem spytał HasWarT'wiego.

– A kimże ja jestem? – westchnął mag, ocierając sobie pot z czoła jedwabną chusteczką. – Także dezertem, nikim innym; zdrajcą świata, uciekinierem cywilizacji. To jest jak miłość. Wyłumacz się ze swych upodobań gastronomicznych; czemu smakuje ci, co ci smakuje.

Kowalski natomiast niespodziewanie wściekł się.

– Dlatego! – wrzeszczał. – Dlatego! – Wskazywał przy tym na swoje blizny, sztuczne oko, brakujące palce. – Teraz wiesz? Dlatego zdezerterowali!

Uspokoiwszy się, przeprosił Javiera. – To nic, to nic – machał ręką, odwróciwszy głowę.

W efekcie Aproxymeo wiedział jeszcze mniej niż na początku i mniej był pewien.

## Pięcioro z Doliny

Spotykali się nieregularnie, co kilka wieczorów (choć czasami we dwa pod rząd), w przylegającej do strzelnicy kantynie, w podziemiach głównego budynku. Major Smith pokazał im autografy agentów z pierwszego naboru, nabazgrane tu na ścianie przy drzwiach, między innymi Glücka, Kowalskiego, Dethewa. Gaspari chciał się dopisać, lecz Smith powstrzymał go. – Dzień przed przerzutem – rzekł. Aproxymeo uśmiechnął się pod nosem; rytuały, rytuały, rytuały.

Dzielili się strachami ze swych snów.

– Doczytaliście się w raportach? – zagadnęła ich raz pewnego Janice, układając na ławie swój gips.  
– To są kanibale.

– Okazyjni – mruknął Aproxymeo.

– Jedzą ludzi? – uniósł brwi Oddstone.

– A jak! Ludzkie mięso jest nawet w cenie. Znalazłam opis uczyty na Czwartym Poziomie. Delektowali się... jest specjalna nazwa na to danie... w każdym razie chodzi o to, że zajadali pośladki niemowlęcia.

– Pieprzysz! – prychnął Gaspari. – Dla jaj pewnie tak powiedział, żeby...

– A gdzie tam! Glück też o tym pisze. Zwłaszcza na Na Odwrot gustują w takich potrawach. Poczytaj sobie.

– Znaczą się – co? My też będziemy musieli...?

Aproxymeo wzruszył ramionami.

– A czy ja ci wmuszam pizze? Czy ktoś wieśza za wegetarianizm? Takie samo prawo posiadasz nie mieć smaku na wędzone węgorze.

– Mają tam węgorze? – zainteresował się Oddstone.

Innym wieczorem, gdy Janice była akurat na prześwietleniu, rozmowa zeszała na seks.

– A żaden się nie zająknął! – zlorzeczył nauczycielom Gaspari. – Topless, no topless, jak Boga kocham!

– Głównie szlachcianki – mruknął Javier z wargami przy butelce.

– A w Południu i Sjeście nawet kompletnie nagie!

Oddstone wznosił spojrzenie ku sufitowi.

– Może ty lepiej do jakiego peep-showu się przejeżdż, mały, zanim cię na tę Baśń wypuszczą, bo cię tam każdy głupi zdemaskuje po wytrzeszczu ślepi. Myślałby kto, gołej baby w życiu nie widział!

Gaspari spąsował.

– No co – zachnął się, pokławszy chwilę bardzo głośno – jest przecież dokumentacja, sam czytałem, zabierali takie szpiegowskie miniaparaciki, powinna być z tego cała fototeka!

– Zlitujcie się, ludzie – westchnął Kojak sięgając po portfel – i zrzucmy mu się na tego „Playboya”, bo już słuchać biedaka nie mogę!

Oddstone pokiwał głową.

– Dziewice zawsze wywołują u mnie poczucie winy.

Nieszczęsny Gaspari miał w oczach siną rozpacz. Nie mógł ich wszystkich trzech zabić; i przekleństwa już go nie ratowały; nie było też w zasięgu wzroku żadnej zdatnej do szybkiego przerżnięcia spódniczki.

– Jeszcze zobaczycie...! – sapnął.

– Tam kastrują za gwałt – zazezował do wnętrza butelki Aproxymeo. – Albo i jeszcze gorzej.

– Co to znaczy: gorzej? Nie ma przecież kary śmierci.

– Glück przytacza w drugiej głosie fragmenty Księgi Bólu – uśmiechnął się Javier. – Fascynująca lektura.

– Sadyści.

– A znajdź sobie zdjęcia krasnoludzie...

– Co, do kurwy nędzy, kto ja jestem, pieprzony sodomita? A odpierdolciez się ode mnie!

A znowuż innego wieczoru Kojak zaczął się chwalić swymi umiejętnościami magicznymi.

– Nieźle, co? – syczał przez zęby, podczas gdy ponad stołem wirowały popielniczka i dwie szklanki. Janice przygryzła dolną wargę i szklanki pękły, szkło spadło na blat.

Kojak spróbował uderzyć ją popielniczką w głowę, ale odchyliła lot pocisku. Popielniczka huknęła w ścianę za nią.

– Pozabijacie się tą magią – warknął Oddstone.

– Nie gadaj, sam ledwo sięgasz aald, a na nas psioczysz. – Podniosła popielniczkę, zmiotła ze stołu odłamki szkła. – A jemu co się dzieje? – zmarszczyła brwi, uniósłszy wzrok na Gaspariego, któremu już pot tłustymi kroplami wystąpił na czoło a dłoń z papierosem trzęsła się niczym delirykowi. – Czy on przypadkiem nie jest epileptyk? Włóżcie mu coś lepiej między zęby, bo se język odgryzie.

– Dziwka – wyrzucił Gaspari.

Okazało się, że chciał się popisać zapalając siłą woli papierosa.

– Jezu, chłopie, jak się będziesz częściej tak koncentrował, to serce ci wysiądzie.

– Co to za koncentracja – mruknął Aproxymeo – wyglądało, jakbyś miał ciężkie zaparcie.

Lou Gaspariemu przypadła funkcja maskotki oraz kozła ofiarnego Piątki. Prawdopodobnie podświadomie wszedł w tę samą rolę, jaką pełnił był na swej łodzi podwodnej. Gdy dostał przepustkę na ślub brata i zabrakło go na jednym z wieczorów, atmosfera spotkania rychło zaczęła przypominać stypę. Ale jego właśnie wtedy z nimi nie było; nie wiedział; był definiowalny jedynie z zewnątrz; nie dla niego lustra przeszłości.

– Dranie, dranie, dranie... – szeptał, aż wreszcie papieros eksplodował mu w palcach.

Aproxymeo w tym czasie potrafił już kontrolować dynamiczne iluzje trójzmysłowe. Wsiadał na konia podnosząc się samemu („za włosy”) na wysokość jego grzbietu. Programował własne i cudze sny.

## Kalejdoskop

Spytał o zdjęcia HasWarT'wiego i na następną lekcję mag przyniósł rzutnik wraz z pudełkiem slajdów.

– Doktor Ack jest przeciwna – wyjaśnił. – Musiałem trochę, mhm, pokombinować.

– Dlaczego? To w końcu też jest informacja. Nie wszystko da się przekazać w słowach.

– Ale ona uważa, że to niebezpieczne. Nazbyt, mhm, ucieleśnia, uzwyczajnia Baśń. Zdjęcia. To już prawie ekspedycja etnograficzna do dorzecza Amazonki. Pojmujesz? W końcu jest psychiatrą.

– Co ty wiesz o psychiatrach, Has...

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie skracaj imion. Już ci mówiłem o czasie. Nie chodzi mi o fizyczną różnicę w tempie jego upływu między Ziemią a Raavą, bo nie ma takowej; lecz o jego wycucie, o stosunek do przemijania. Na Raavie nie znasz tego przymusu nieustannego ścigania, gonienia, strachu przed pozostaniem w tyle, utratą sekundy, setni. Nie tylko z uwagi na brak jakichkolwiek widocznych oznak przemijania w ludzkiej skali – ale przez zupełnie inny sposób wartościowania czasu zużytego. Nie ma potrzeby skracać imion, nie zbawi cię ten ułamek sekundy.

A zdjęcia były zaiste niczym z albumu etnografa.

Przede wszystkim: niebo. Wiedział; ale co innego wiedzieć, co innego widzieć: posiadało barwę gorącego karminu; w Wieczorze bardziej ciemnopurpurowe, w Południu bardziej malinowe – zawsze

czerwone. Odblaskiem nadawało wodzie odcień delikatnego różu. Sfotografowana ze stromego brzegu rzeka w Zmierzchu wyglądała niczym krwawy wylew czarnoziemiu. Na znak pokoju, rozejmu i pojednania – wieszano w Baśni płótna ogniście pomarańczowe.

To niebo stanowiło jedną z głównych przyczyn ciężkiej konfuzji ściągniętych do Doliny ekspertów, w żaden sposób nie potrafili wytłumaczyć jego barwy – bowiem ani atmosfera Raavy nie była (na ile dało się to ocenić) specjalnie gruba czy gęsta; ani nie dowiedziono istnienia w niej jakichś zanieczyszczeń, wysokich zapyleń; ani gwiazda Raavy (przez Raawańczyków zwana, rzecz jasna, Słońcem) nie wychylała się w żadną stronę z ciągu głównego.

Z kolei chlorofil Raavy na nieustający dzień odpowiedział nie przez ujemny fototropizm, lecz fotomimikrę. Strefowo, równoleżnikami ciepła, szły kręgi tęczy życia: od jasnego błękitu, przez seledyn, bogatą zieleń granicy Sjesty i Wieczoru, po porostową czerń Zmierzchu i zeroalbedowe nibyrośliny spoza Terminatora, wwożone w Dzień przez handlarzy z Dłoni w nieprzezroczystych skrzyniach z metalu. W Baśni kolorem żałoby była zieleń.

– Czemu nie czerń?

– Czerń jest barwą Kamienia – odparł HasWarT'wi.

– Glück się rozpisuje o tej legendzie... Czy w ogóle ktokolwiek popłynął w Noc, żeby to sprawdzić?

Może w punkcie odsłonecznym nie ma ładu.

– Jest.

– Skąd to wiesz? Nie istnieją mapy sięgające za Terminator dalej niż kilkadziesiąt mil.

HasWarT'wi bawił się przez chwilę pilotem rzutnika.

– Widziałem mapę świata, mapę Raavy – rzekł wreszcie – w ruinach domu sprzed Podziału; mozaikę posadzki. Ułożono tam z kamieni mapę obu półkul planety. Początkowo nie mogłem rozpoznać, bo oni, rzecz jasna, wybrali inny południk graniczny. Ale zarysy kontynentów zgadzały się.

– Więc wierzysz w to?

– W co?

– W Kamień.

HasWarT'wi wzruszył ramionami.

– Aha, przy okazji – zmienił naraz temat – ostrzegam cię, żebyś się nie sugerował moim zachowaniem. Właśnie zdałem sobie z tego sprawę: zbyt długo już tu mieszkam; na Raavie nikt nie zrozumie takiego wzruszenia ramion. Odruchów jednak nie opanujesz, polegaj zatem na minach: zawsze najpierw patrzy się na twarz.

– Jest jakiś równoważnik?

HasWarT'wi po zastanowieniu pokazał: strzepnięcie luźno opuszczoną ręką, od tułowia w bok.

– Musi być prawa?

– Co, jesteś mańkutem?

Na innych zdjęciach były Bafioie. Najwyższe góry Baśni (a w każdym razie Dnia) wznosiły się ponad chmury, tnąc krzywymi wierzchołkami jasny lakier nieboskłonu. Znajdowały się w Południu i na zdjęciach nie było na nich widać lukru wiecznego śniegu; tropikalna kajja kryła je błękitnym kożuchem aż do granicy zasięgu wzroku.

Na jeszcze innych zdjęciach byli Raawańczycy. Wszyscy jakby cokolwiek wychudzeni, o nieco dłuższych kończynach. W przypadku kobiet dawało to zazwyczaj przyjemne efekty estetyczne, lecz mężczyźni wyraźnie sponurzało. Przez slajdy maszerowali żołnierze FMK; agent musiał się być zasadzić gdzieś na drzewie, szereg wzięty został z góry. Rząd za rzędem: kościści chudzielcy o smagłej skórze ciasno opinającej czaszki. Większość strzygła się na zero. Mrużyli ciemne oczy.

– Czemu nie noszą kapeluszy? Czegokolwiek. Dziwne, że nie padają od udarów.

– Wcale nie. Poza tym – istnieje tradycja, sięgająca jeszcze Edyktu, zakazująca noszenia ubioru

chroniącego od słońca.

– Ach, prawda, czytałem: nocni skrytobójcy, Cienie Kamienia.

Na jeszcze innych – miasta. Istniało ponad tysiąc zdjęć Niebotycznego Xoth. Każdy agent fotografował tę zapierającą dech w piersi niemożliwość aż do kompletnego wypełnienia taśmy lub pamięci aparatu. Nic się nie mogło równać ze stolicą Imperium; Imperium, co prawda, istniało już jedynie w nazwie, lecz miasto przetrwało: namacalny dowód nadludzkiej potęgi magów Raavy. Czarem stało. Siedem kolistych platform skały i ziemi plus Dno czyli skryta w cieniu powierzchnia planety. Każda kolejna platforma, poczynając od najniższej, Pierwszej, posiadała średnicę o połowę mniejszą i dwukrotnie większy odstęp dzielił ją od poprzedniczki. Trzy najwyższe były już hermetycznie zamknięte z uwagi na rozrzedzenie dookolnej atmosfery. Poziom Siódmy, Zamek, znajdował się – w przeliczeniu – około dwadzieścia siedem kilometrów nad poziomem morza. Xoth właściwie rozłożyło się jednak na Dnie oraz trzech niższych Poziomach, które pozostawały otwarte dla wszystkich; Czwarty i wyższe stanowiły natomiast wyłączną własność starych rodów Imperium i również wszystkie prowadzące tam Bramy były prywatną własnością arystokracji – podczas gdy Bramy niższe oddano w dzierżawę Radzie Miejskiej Xoth: dochód z opłat za przejście przez nie stanowił podstawę budżetu miasta. Co prawda owe opłaty ograniczały się do przysłowiowego grosza, lecz z uwagi na ilość przechodzących, szybko robiły się z tego sumy astronomiczne. Podług ostatniego spisu ilość stałych mieszkańców Xoth, po wyłączeniu arystokracji Wysokich Poziomów, niewolników oraz dzieci, przekraczała trzy miliony. Xoth stanowiło jeden wielki, zamknięty, autotroficzny organizm. Nigdy nie zdobyte, nigdy nie poddane, rzucało swój cień – dosłownie i w przenośni – na setki mil odeń. Agenci Doliny fotografowali ten cień. Xoth leżało w Sjeście i kąt padania promieni słonecznych powodował trwale przesunięcie kół sztucznej nocy ku Terminatorowi. Dno oraz Pierwszy i Drugi Poziom były z tego powodu oświetlane systemami zimnych ognisk płonących u spodu wyższych platform; wszelako cienie wyższe kładły się już w całości na powierzchni równiny pól uprawnych, długim ciągiem malejących monet ciemności. Były to ambasady drugiej półkuli, miejsca przekłucia Nocy. Hodowano tam dziwolągi sprowadzone zza Terminatora. Mieściły się tam więzienia i Świątynie Cierpienia.

Zmutowana roślinność z obrzeżnych parków Drugiego i Trzeciego Poziomu, przelawszy się po przysłonecznej stronie przez krawędzie platform, spływała setkami metrów, błękitnymi wodospadami lian, korzeniodrzew, roślin na roślinach na roślinach; zapewniało to mieszkańcom lekki półcień od wiecznego popołudnia. Jednak z daleka fotografowane, wyglądało Xoth z tej przyczyny niczym aztecka piramida schodkowa o jedynej ścianie z niebieskiego futra – nie istniały bowiem, poza owymi dwiema kurtynami życia, inne materialne połączenia pomiędzy Poziomami czy też Poziomami a ziemią. Xoth stało czarem. Wielce skomplikowane było to zaklęcie, utrzymujące od wieków w zawieszeniu na czerwonym niebie owe miliony ton i umożliwiające nieprzerwane funkcjonowanie Bram. Wymagało aż siedemnastu operatorów magicznych: czwahfa, guzów bólu.

– Wyglądają jak zamarznęte mleko. Są wielkości śliwki, kształtu jajka, ale z drobnymi deformacjami. To systemy nerwowe, ściśnięte do maksymalnej gęstości połączeń, immanentnie magiczne, zachowujące po wieczność strukturalne odbicie raz rzuconego czaru, lecz zdadne po wymazaniu do wielokrotnego użytku. Nazywa się je guzami bólu, ponieważ są kompatybilne z systemami nerwowymi ludzi i krasnoludów i dotknięcie ich powoduje u nas całkowite porażenie synapsatyczne.

– Lecz jeśli zdobędziemy taki guz – rzekł Aproxymeo wpatrując się w slajd ukazujący Niebotyczne Xoth z lotu ptaka (kto i jakim cudem zrobił taką fotografię? może to tylko symulacja komputerowa?), w którym to ujęciu widoczne było niejaki podobieństwo magicznego miasta do Wieży Babel według Bruegla – jeśli go zdobędziemy i dostarczymy ci – czyż nie spowoduje to automatycznie upadku i zniszczenia Xoth i śmierci jego mieszkańców?

HasWarT'wi strzepnął ręką.

## Mag

A gdy wskazał palcem, powietrze falowało od gorąca. I gdy zaciskał dłoń do bólu – ból wybuchał w króliku, w którego się wpatrywał. A na powierzchni wody, na którą padał jego cień, ścinał się lód. A na jego głos ludzie doznawali zaćmienia świadomości. Uczył się. Teraz już pragnął się uczyć. Z niecierpliwością wyczekiwał każdego kolejnego spotkania z HasWarT'wim. Czasami Raawańczyka nie było przez kilka dni z rzędu; wyjeżdżał z Doliny. Dokąd? Przecież muszę utrzymywać łączność z Baśnią, mówił HasWarT'wi; chociażby z Chenami. Podczas jego nieobecności Aproxymeo trenował sam. W niższej sali gimnastycznej stały dwa eksperymentalne trenażery, skonstruowane ponad rok temu podług precyzyjnych wskazówek HasWarT'wiego. Były to sterowane komputerem układy skanów laserowych, wycelowanych na matę treningową, sprzężone z mikrofonami oraz otaczającymi matę szerokim kręgiem głośnikami i ciekłokrystalicznymi ekranami. Aproxymeo spędzał tu wieczory. W Dolinie wówczas wyraźnie chłodziło, czasami spadał też lekki deszcz, mżawka jesienna; Aproxymeo otwierał szerokie drzwi wychodzące bezpośrednio na boczny podjazd, pozwalał wlatywać wiatrowi do środka, wpuszczał zapachy i dźwięki spokoju. Gasił w sali światło. Wchodził na matę jedynie przy słabej luminescencji ekranów. Lasery lizały go swymi szerokimi jezorami w niewidzialnym paśmie. Javier wypowiadał hasło i komputer uruchamiał program; lista dostępnych ćwiczeń powstawała z przefiltrowania banku czarów przez kryteria selekcji założone przez HasWarT'wiego na podstawie stopnia zaawansowania w indywidualnym szkoleniu – a tylko HasWarT'wi znał hasło dla zmian.

– Strzała w plecy! – krzyczał głośnik – i Aproxymeo wykonywał odpowiednie gesty i wypowiadał odpowiednie słowa, by zamknąć wokół siebie sferę statyki, a komputer mierzył czas reakcji i sprawdzał, czy Javier zmieścił się dykcją i precyzją ruchów w ustalonych przez HasWarT'wiego granicach prawidłowego wyzwolenia czaru. A potem ekrany wybuchały ogniem; uderzały błyskawicą; głośniki wrzeszczały o hipotermii i truciźnie. Czary następowały po sobie jak finty i parady w szermierce. Gdyby nie położone tu przez HasWarT'wiego pole negacyjne, odnawiane starannie co tydzień, Javier rychło padłby z wyczerpania organizmu niezliczonymi szokami fizjologicznymi – a niewykluczone, iż uszkodzeniu uległaby również delikatna elektronika trenażera, jako że były pomiędzy ćwiczonymi czarami naprawdę niebezpieczne dla otoczenia.

Aproxymeo do tego stopnia wyprzedzał w nauce magii pozostałą czwórkę, że nigdy nie doszło do ich spotkania w tej sali gimnastycznej: gdy oni rozpoczęli ćwiczenia, on już je zakończył. Przygotowana przez HasWarT'wiego lista dostępnych im czarów, choć długa, była przecież zamknięta; po zadowalającym opanowaniu pośredniej metody ich rzucania, przyszło Javierowi wyuczyć się metody bezpośredniej, to znaczy bez symbolicznych manifestacji w rodzaju wypowiedzianych na głos formuł czy czynionych z chirurgiczną precyzją gestów. Już tylko myśl, już tylko wyobrażenie. Czy HasWarT'wi kiedykolwiek mamrotał jakieś zaklęcia, wymachiwał rękoma? Nigdy. Tak samo człowieka nie potrafiącego czytać inaczej jak z sylabicznym szeptem i suwem palca pod linijką tekstu uważasz raczej za półanalfabetę; on czyta – ale cóż to za czytanie!

Aproxymeo nie miał z tym jednakowoż większych problemów. Zaskoczyło to samego HasWarT'wiego, choć już wcześniej zaskoczony talentem Javiera nie powinien teraz pochopnie wyznaczać pułapu swych oczekiwań.

– Gdybyś urodził się na Raavie – mówił, teraz już wyłącznie w xotha – gdybyś tylko urodził się był na Raavie – mógłbyś zostać wielkim magiem, mógłbyś zostać Władcą Księżyca.

Niespodziewanie wywołało to u Javiera gniew.

– A czyż i tak nie jestem magiem? – warknął. – Czaruję; kto czaruje? – magowie.

HasWarT'wi pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz. Czy kaligrafa kopiującego księgę nazwiesz pisarzem? Choć pisze przecież; i zna treść kopiowanego. Niczego wszakże nie tworzy, wykonuje czynność całkowicie mechaniczną. Pisarzem jest twórca oryginału. Zrozum, że decydującą rolę odegrały tu ograniczenia czasowe. Na Raavie przebiegałoby to wszak zupełnie inaczej. Lata, lata całe. Tu zaś, w te kilka miesięcy – czegoż mogę cię nauczyć? Jedynie zespołów stosownych reakcji. Przyznaję, że rzeczywiście reagujecie sprawnie i szybko, nikomu na Raavie nie przyszłoby do głowy ćwiczyć się w ten sposób w rzucaniu czarów na czas, niczym w dyscyplinie sportowej – ale to nie czyni was magami. Zmień kształt tej chmury.

– Nie pokazałeś mi czaru na to.

– Bo nawet nie pamiętam stosownego. Ale w każdej chwili mogę go wymyśleć. Nie ogranicza mnie pamięć formuł. Ja tworzę.

– Ach, tak. Nędzny imitator ze mnie.

Niewątpliwie – gorycz; niewątpliwie – upokorzenie. Zapomniał nawet spytać o owego Władcę Księżyca.

## Dane operacyjne

Było ich więcej; to coś w rodzaju tytułu. Władcy Księżyca. Rzecz wiązała się ściśle z legendą o Kamieniu. Sprawiała ona wrażenie uniwersalnej, niekanonicznej religii Baśni.

Pisał Glück:

*To odpowiednik archetypicznego mitu o pokalaniu rasy, symboliczna egzemplifikacja poczucia wewnętrznego dualizmu, usprawiedliwienie zła oraz katharsis poprzez samooskarżenie; grzech pierwotny, choć ontologicznie zaczepiony w materii bardzo mocno, bo cała historia Raavy stanowi wszak jedną wielką egzegezę Wezwania Kamienia. Manicheizm rzutowany na geografie: Dzień i Noc. Rzecz w tym, że mowa tu nie o metafizyce, a stanie faktycznym. Lecz tak samo Egipcjanie tłumaczyli sobie zaćmienia Słońca. W Baśni jest to bardzo silne: PRZYPADEK NIE ISTNIEJE. Nie ma zdarzeń nic nie znaczących, zbiegów okoliczności, wszystko wiąże się ze wszystkim a rangę symbolu posiada nawet ukąszenie komara. Stąd podział planety na półkule trwale przysłoneczną i odsłoneczną ustawia całą teologię Raavy. Ale to też jest złe słowo; to nie teologia, nikt nie twierdzi, że Kamień jest Bogiem (czy choćby bogiem), nikt nie zdejmuje odpowiedzialności z Czarnoksiężnika przenosząc ją na jakiegoś niewidzialnego demiurga. Najpopularniejsza postać mitu jest taka: Czarnoksiężnik dla pognębienia swego wroga-w-magii wezwał z głębokiego kosmosu Kamień, Kamień spadł na miasto nieprzyjaciela powodując istny holocaust, po czym nie poddał się już kontroli Czarnoksiężnika i, wrosnąwszy w planetę, zapanował nad jej obrotami, aby przykryć się wieczną ciemnością i zimnem, bo nienawidzi blasku słońca, stanowiąc uosobienie jego przeciwieństwa: materialny negatyw światła. Nastąpił zatem Podział, wieki chaosu i upadku cywilizacji, bo w wyniku atmosferycznych kataklizmów zniszczony został niemal cały dorobek rozumnych ras Raavy. Teraz trwa faza druga: Po Podziale. Paralele do mitologii chrześcijańskiej są oczywiście: Eden (Przed Podziałem), zakazany owoc (wezwanie Kamienia), wygnanie z raju (Podział). Rozwinięta stąd siatka analogii transponuje Kamień w raawańskiego szatana, Noc w Piekło itd. Manowce, manowce. Przede wszystkim: nie istnieje w Baśni pojęcie grzechu jako deontologicznie klasyfikowanego złego czynu, za który czeka nieuchronna kara. Oni wiedzą, że kary nie będzie i że nie będzie Sądu Ostatecznego: śmierć jest na wyciągnięcie ręki, rozmawiają ze swymi zmarłymi, sporządzają ideomapy jej krain, to jak wyjazd na sąsiedni kontynent, jeszcze za życia znają Domy Wieczności z opowieści przodków, nie ma strachu,*

nie ma niepewności, nie ma zaskoczenia, tak samo dzieci przechodzą w czas dorosłych, jak żywi na Drugą Stronę. Moralność Raavy jest moralnością estetyki, obyczaju, prawa i pragmatyzmu; w praktyce oznacza to rozmycie się pojęcia tabu oraz całkowity zanik sacrum i profanum sensu religijnego. Nie jest to jednak tak do końca Sartre'land. Pojęcie Boga (Boga jako Boga: monoteistycznego, z wielkiej litery pisanego) jest znane. Funkcjonuje jednak w dosyć zaskakującym kontekście. Otóż reguła indukcji, intuicyjnych ekstra- i interpolacji okazuje się uniwersalna i sam fakt powszechnego doświadczania „życia po śmierci” prowadzi do absolutystycznych skojarzeń. Jest to łańcuch iteracyjnych wnioskowań, logicznie niezmiernie wątpliwy, lecz dziwnie urzekający swym progressio ad infinitum. A mianowicie: Bóg umarł, a dzisiejszy świat materialny stanowi Jego lloxar. I znowu: proszę nie kojarzyć z Nietzschem. Mit ów nie posiada żadnych konotacji moralnych, jest jedynie abstrakcyjną konstrukcją myślową, proponującą prostą i spójną kosmogonię w oparciu o interpolację w metafizykę praw obowiązujących w świecie podległym empirii (bo egzystencja pośmiertna mieści się w domenie doświadczeń zmysłowych). Jak dalece jest to Bóg achryscijański, świadczy chociażby rozmowa przeprowadzona przez jednego z agentów z Raawańczykiem przychylającym się do twierdzenia o kontrchronizmie Boga.

[Jest to pogląd, według którego Bóg żyje w czasie przeciwnie zwróconym, stąd istnienie świata jest dowodem na to, iż On jeszcze – jeszcze! – nie umarł]

AGENT: A zatem wierzysz w Niego?

RAAWAŃCZYK: Mhm, wierzę, że żyje.

AGENT: Modlisz się do Niego?

RAAWAŃCZYK: Pytasz, czy rozmawiam?

[Uwaga: słowa: „modlitwa”, „modlić się” nie posiadają bliskich odpowiedników w xotha; agent zastosował opisową peryfrazę]

AGENT: Rozmawiasz?

RAAWAŃCZYK: A cóż Mu po moich słowach?

AGENT: Nie prosisz? O zdrowie na przykład?

RAAWAŃCZYK: Uważasz, że zmieniliby się na moją prośbę? Jeśli bolą cię nogi, odpoczniesz, gdy będziesz chciał; nie staniesz na ich prośbę w trakcie ucieczki przed raugarem.

[Uwaga: „raugar” – drapieźnik kajji; patrz -> CR IV, 340]

AGENT: Kochasz Go?

RAAWAŃCZYK: Zwariowałaś...?? A czy ty kochasz grawitację? Kochasz liczbę pi? Kochasz magię? To jest abstrakcja. O czym ty w ogóle gadasz, do ciężkiej glicy?

[Uwaga: liczba pi znana jest w Baśni jako „proporcja NuRo”]

Nie byłby to zatem w żadnym razie Bóg ziemski. I tak samo nie jest diabłem – ziemskim diabłem – Kamień. Konsekwencje jego istnienia (wciąż według interpretacji mitu) objawiają się zdarzeniami złymi z punktu widzenia Dziennych nie dla świadomie złośliwych intencji Kamienia – jawi się on raczej czymś w rodzaju naturalnego prawa oddziaływań, emanacji chaosu, gradientowskazu entropii. W tym sensie Kamień może zostać uznany za wygodny skrót myślowy do ogółu niedogodnych dla życia zjawisk wynikających z Podziału (w rzeczy samej bowiem wszystkie przeprowadzone dotąd symulacje wykazują, iż w klimatycznych warunkach Raavy życie w tej formie istnieć nie ma prawa; patrz -> CR XI, 21-34). Sięga to nawet astronomii; istnieje przekonanie (w Baśni posiada ono rangę faktu socjologicznego), iż Kamień opanował księżyc Raavy i próbuje wykorzystać go dla wywołania kontrolowanych, powolnych zaćmień, aby móc w ich cieniu wypuszczać w Dzień swe Czarne Krucjaty; na szczęście stowarzyszenie (gildia? sprzysiężenie? tajna loża?) najpotężniejszych magów Dnia powstrzymuje swą mocą księżyc w ruchu po jego orbicie po ciemnej stronie planety; stąd zwą ich Władcami Księżyca. Znowu jednak: nie jest to żaden druidyczny

*krąg, zakon świątobliwych mężów. Wielu spośród największych intrygantów, ludobójców i wiarołomców z historii Baśni szczyłło się tytułem Władcy Księżyca. To polityka. Podobnie u nas grano o jeden miliard, jeden paragraf więcej – z palcami na przyciskach atomowych.*

## Osmoza

Oczywiście im dłużej się uczył, im więcej wiedział – tym bardziej obraz tracił na spójności i rozchodził się z twardych uogólnień w mętne szczegóły. To już były relacje z pierwszej ręki, informacje bezpośrednie, a więc przez nikogo nie filtrowane, nie komentowane, nie syntezowane.

Xotha wcale nie stanowiła jedyne go języka używanego w Baśni – była po prostu najbardziej popularna, znana na wszystkich trzech kontynentach: łacina Raavy. Prócz niej funkcjonowało wszak z górą trzydzieści innych języków i dialektów. Gdyby nie Podział, byłoby tego ze sto razy więcej. Ale i tak – chaos. Nadto xotha pełna była naleciałości, anachronizmów i postlogizmów z zapomnianych języków sprzed Podziału. Była zatem językiem żywym, ewoluowała i bez problemu asymilowała elementy obce. Zwroty takie jak: „satheno, satheno” (odpowiednik „okay”, o nieco rozszerzonym zastosowaniu), przeczące „njecht”, twierdzące „xa”, wulgarne (choć nikt nie znał jego dokładnego znaczenia) „a ioo oth”, przeprasające „sotte” – przeniknęły do gwary Doliny i pojawiały się także w wypowiedziach pracowników nie znających ni słowa w prawdziwej xotha.

Xotha tymczasem uczyła Baśni równie dobrze, co Glückowy podręcznik. Sama gramatyka opowiadała Raawę. W rzeczy samej xotha musiała być bardzo młodym językiem. Jej ciągły, głęboki niczym ocean i tajemniczy jak legenda plusquamperfekt mówił o niezachodzącym słońcu i niezmienności raawańskiego nieba. Jej fleksja, różnicująca podług płci oraz kategorii istnienia (żyjący lub lloxar) nawet niektóre przysłowki, malowała bajkową niemożliwość tego świata. Jej słownik, jej olbrzymi słownik... „Ya”: człowiek; ale nie jako homo sapiens, lecz jako istota rozumna w ogóle, więc także krasnolud, także elf. Człowiek jako człowiek to „ut”. Raava: ład nad pustką; planeta; Ziemia. Loo fane, fane, fane.

Kartkował grube tomiszcze i rosło jego zdumienie. Xotha przeczyła sama sobie: bardzo młoda konstrukcją stosowną dla świata po Podziale, zarazem sugerowała bogactwem i subtelnością istniejących w niej pojęć o wysokim stopniu abstrakcji – sugerowała wielką dojrzałość i długowieczność stojącej za nią kultury i cywilizacji. Najwyraźniej stanowiła język pasożytniczy, to znaczy wyrosły na wysokokalorycznej pożywce języków starożytnych. I choć przeczyli oni fizyce – nie sposób było mówić w xotha a jednocześnie negować istnienia Kamienia, Podziału i Władców Księżyca.

## W czwartym miesiącu

W czwartym miesiącu rozłożył Kowalskiego we wszystkich dziewięciu pojedynkach po kolei.

Kowalski uniósł ręce, odstąpił.

– Koniec – sapnął. – Teraz ty mnie ucz, morderco.

Aproxymeo opuścił swój miecz i wsparł się na wyprofilowanej specjalnie dla jego dłoni rękojeści – od jakiegoś już czasu walczyli prawdziwą bronią, o czarnych brzeszczotach dla uniknięcia śmiertelnych obrażeń powleczonej grubą warstwą szybko schnącego a łatwo zmywalnego plastiku.

– O co ci chodzi?

Kowalski zaśmiał się ciężko.

– Myślisz, że nie zauważam? Załapałeś aż za dobrze. Walczysz z desperacją autentycznego mordu; żebyś się widział, żebyś widział, jak zaciskasz usta. Można się przestraszyć. Ale to dobrze. Na tym polega

prawdziwa walka, to jest ta przewaga, której amatorzy nie potrafią za nic zrozumieć: podświadome przyzwolenie na dowolne okrucieństwo. Powiedz: żałowałeś, że masz tę osłonę na ostrzu, prawda? Żałowałeś?

- Bernard, cholera, ja nie chcę cię zabić, czemuż miałbym chcieć, na diabła mi twoja śmierć...
- Wiem. Ale, powiedz: żałowałeś?
- Idiota – warknął Aproxymeo.

Lecz wejrząwszy potem w pamięć swych uczuć musiał przyznać Kowalskiemu rację. Za każdym razem, gdy klinga uderzała w Bernarda plastikowym obuchem swego ostrza – za każdym razem wybuchalo w Javierze jakieś szalone, gniewne rozczarowanie: to nie tak miało być, nie tak; miała być krew, miał być ból, miała być śmierć, tryumf ostateczny, dzika radość destrukcji. Aż dreszcz przechodził.

W czwartym miesiącu został ponownie wezwany do gabinetu doktor Ack. Piętro biurowca tętniło już pełnią swego urzędniczego życia. Pięcioro wybranych z niepokojem obserwowało powolną inwazję na Dolinę przeprowadzaną przez ogarniturzonych ponuraków z Waszyngtonu; zajęli oni już wszystkie bungalowy, a postawiono im jeszcze za stajniami sześć baraków z prefabrykatów; wydzielono również miejsce na nowy parking, bo stary już nie wystarczał. Rankami spotykali ich, joggujących z masochistycznym zacięciem dookoła kompleksu budynków, kobiety i mężczyźni w owym nieprecyzywnym wieku pomiędzy teksaską dwudziestką a kalifornijską czterdziestką; pagery przy pasie albo i komórkowce przy uchu; nie zamieniają słowa z człowiekiem spoza ich kasty, nastąpiła tu niepostrzeżenie specjacja gatunkowa, krzyżówki są niedopuszczalne, prewencyjna latalizacja i tak bezpłodnych hybryd chroni przed trwałymi mezaliansami. Było ich chyba ze trzy tuziny. Pięcioro kandydatów na agentów zaczynało już odczuwać coś w rodzaju dziecięcej zazdrości: to my powinniśmy być tu najważniejsi, to nam przyjdzie ryzykować życiem, to my jesteśmy bohaterami...! A tymczasem wyglądało jakby o nich zapomniano, jakby stanowili zbędny dodatek do biurokratycznej maszyny, która właśnie się budzi, przeciąga i bierze wdech, zaraz strząśnie z siebie niepotrzebny balast, któż wie, komu przyjdzie odpaść.

Doktor Ack przywitała go matczynym uśmiechem.

– Javier, mój drogi, jak to miło cię znowu widzieć, wyglądasz doprawdy jak po roku wakacji, jaki opalony, jaki opalony; ale nie mam niestety wiele czasu, chciałam cię tylko osobiście powiadomić, że program wystartował i że jesteś na pierwszym miejscu listy, gratuluje; wkrótce zaczniemy trzeci nabór, mam czterdzieści etatów, ruszymy z kopyta, tak, tak, ruszymy z kopyta; czytałam raporty HasWarT'wiego i Kowalskiego, same superlatywy, przyznaj się, żeś ruski szpieg; o cholera, która to już godzina; wybacz, muszę...

– Do widzenia, m'dam.

Chciał ją wypytać o kilka spraw, ale nie dała mu okazji. Przydybał potem Smitha na parkingu, jak wsiadał do sedana wraz z dwiema kobietami w ciemnych kostiumach za minimum tysiąc dolarów sztuka.

– Już od paru tygodni cię nie widziałem, gdzieżeś zniknął?

– A co się dzieje? – uniósł brwi Smith.

– Nic się nie dzieje. Spytać się po prostu chciałem... Kowalski gównem wie, Dethew jest paranoiczny służbista a z HasWarT'wiego nie wyciągniesz wbrew jego woli nawet numeru kołnierzyka.

– Spieszę się.

– W takim razie tylko jedno: czy to będzie operacja stricte wojskowa?

– Co?

– Podbój Baśni.

Murzyn odpowiedział pustym spojrzeniem.

– We łbie ci się pomieszało od zbyt intensywnej nauki, poruczniku.

– Nie jestem tu porucznikiem a ty nie jesteś majorem, nie zasuwasz mi takich gadek. Widzę, co się dzieje. Zielone światło. To się musi jakoś opłacić. Przecież nie turystyką dla agentów terenowych. Jaki jest plan?

– Wkrótce dostaniecie przepustki.

– Jaki jest plan?

Smith zmienił taktykę. – Javier – westchnął ciężko – naprawdę...

– Na co nam czwahfa? Dla utrzymania stałej Bramy. A po co nam stała Brama? Dla zwiększenia przepustowości. Ile godzin zabierze przerzut dywizji?

– Rany boskie...

– Ja przecież nie potępiam; po prostu mi powiedz. Chcę wiedzieć. Wszyscy chcemy wiedzieć.

– Skoro potrzebne wam to dla dowartościowania... Niedługo i tak będziecie zaledwie jednym z wielu.

– Nie rozumiesz. Jeśli to ma być otwarty podbój, jeśli wejdziemy tam na całego... to zupełnie zmienia sytuację. Już nie tajna operacja, lecz wydarzenie historyczne. Nazwisko tego, który zdobędzie guz, znajdzie się w encyklopediach. Na prawach do filmów i książek zarobi miliony.

– Masz rację – rzekł Smith, lecz Aproxymeo nie dowiedział się już, co do czego ma rację, bo brunetka z sedana nacisnęła klakson, zamachała na Smitha i major odszedł bez słowa.

W czwartym miesiącu koń Javiera, Gruźlica, złamał nogę. Był to kary dwulatek o ognistym temperamencie, upodobany sobie przez Aproxymeo właśnie dla owej nieprzewidywalności reakcji. Poniósł i podczas próby przesadzenia wewnętrznego płotu zahaczył o drut. Javier – który wprawiał się już w jeździe sposobem raawańskim, to znaczy bez strzemion – wyleciał z siodła przez łeb Gruźlicy i wylądował z przewrotnką, tłukąc sobie boleśnie bark; Gruźlica natomiast złamał nogę. Patrzył potem Javier, jak wierzchowca znieczulają i ładują do ciężarówki. Dethew przydzielił Javierowi starego wałacha.

W czwartym miesiącu uwiódł Aproxymeo jedną z pracujących w biurówcu sekretarek – czy też to ona jego uwiodła, zazwyczaj nie sposób tego orzec ze stuprocentową pewnością. Podczas swego wieczornego spaceru podpatrzyła go ćwiczącego w ciemnej sali gimnastycznej na trenażerze czarów. Zostawił otwarte drzwi zewnętrzne, zajrzała do środka i została z czystej ciekawości. Można rzec, że poderwał ją dzięki magii; jaki nauczyciel, taki uczeń. Należała do personelu niższego szczebla, podpisała tylko standardową lojalkę, nie była wtajemniczona – i lgał jej kolorowo. Ach, misje w egzotycznych krajach, terroryści, bomba atomowa, Bóg wie, co jeszcze; pełne spektrum hollywoodzkich bajek. Oczywiście nie wierzyła, ale on też wiedział, że mu nie wierzy; śmiali się obydwój, dopowiadała puenty konfabulowanym tajemnicom. Nie była piękna, ale posiadała owo wyczucie własnej zmysłowości, które zazwyczaj jest wrodzone, nie zależy od wieku i nigdy nie daje się pochwycić na zdjęciu, rzadko w filmie. Mogła nocować u niego w domku, bo z hoteliku w pobliskim miasteczku przeniosła się do sutereny rezydencji byłego właściciela stadniny, nie musiała więc meldować się u strażników przy wjeździe do Doliny; i zazwyczaj nocowała. Lubił ją. Jej beztraska była zaraźliwa. Takie kobiety przyciągają mężczyzn zakochujących się w ich pozornej bezradności, przeważnie źle to się kończy. Ale w niej było coś więcej. Pewnego ranka obudził ich HasWarT'wi, który nie przejmował się zamkami, ani nie zaprzętał głowy pukaniem. – Kto to jest? – wskazał ją laską. Rzuciła w niego poduszką. – Tu się mówi. I po angielsku, proszę. – Ukłonił się. – Raczy pani wybaczyć. Pan Aproxymeo posiada bardzo napięty harmonogram, na pewno pani rozumie... Czekam trzy minuty – rzucił Javierowi i wyszedł. Wsunęła ręce pod głowę i zapatrzyła się w sufit. – Ależ to jest skurwysyn. Ależ to jest skurwysyn, Javier. Nie odwróciłabym się do niego plecami nawet w kamizelce kuloodpornej. – Ledwie na niego okiem rzuciłaś – mruknął ubierający się Aproxymeo. – Przyznaj się – nacisnęła – to jest jakiś podwójny agent, zdrajca, który przeszedł na naszą stronę. Co on robił, torturował dla nich ludzi? – Nic jej nie odparł i obserwowała go w milczeniu

żując gumę, aż wyszedł. Czuł, że w jakimś sensie ma ona słuszność co do HasWarT'wiego. Posiadała tę łatwość przechodzenia od skojarzeń do słów, którą to zdolność krzywdząco kwituje się etykietką intuicji – podczas gdy w rzeczy samej jest to życiowa mądrość, dojrzała inteligencja obcowania z ludźmi. Ale nigdy nie narzucała swego zdania; nie naciskała i teraz. Wiesz, że nie należy na siłę udowadniać mężczyźnie swej wyższości – myślał o niej Aproxymeo idąc do HasWarT'wiego – sam się na niej pozna, jeśli jest coś wart, a z takiej walki nic dobrego nie wynika, bo zawsze ktoś w niej przegrywa i traci, a zazwyczaj obie strony. Co ty tu robisz, w tej Dolinie, w kotle gorącym od ognia polityki i ambicji. Pokręcił głową; wciąż czuł zapach jej ciała. Nazywała się Celine Hyas.

## Krótko we wsteczne lusterko

Pierwszą przepustkę otrzymał zanim jeszcze poznał Celine. Oczywiście nie było mowy o żadnych spotkaniach z przyjaciółmi czy rodziną; zresztą nie miał przyjaciół, nie miał rodziny. No i o co tu właściwie chodzi? – o rozmowy, zwierzenia, zabawę, wsparcie psychiczne? Tak naprawdę ludzie nie byli mu do niczego potrzebni. Nie przeszkadzała mu ich obecność; ale też w niczym nie pomagała. To obojętne. I tak wszelkie kontakty powierzchowne, słowa kłamliwe, gesty premedytowane. W ogóle nie rozumiał pojęcia szczerości. Co to znaczy: być szczerym? Mówić bez zastanowienia? Powie głupoty. Mówić, co tylko do głowy przyjdzie? Powie rzeczy wzajem sobie sprzeczne, na dodatek mocno obraźliwe dla otoczenia. Wywnętrzać się przed obcymi na zawołanie? W zależności od nastroju będzie się potępiął lub wychwalał, zawsze pewien, że nie powiedział wszystkiego, że coś świadomie lub podświadomie ominął, zmanipulował własne myśli. Irytowali go ludzie obnoszący się ze swoją pozorną szczerością. Wybacz tę bezpośredniość, chłopcze, ale według mnie jesteś po prostu małym sadystą. Sorry, że tak bez ogródek, aleś głupi jak but. Nie będę owijał w bawełnę: świnia z ciebie. I tak dalej. Że niby tacy bezkompromisowi. Akurat. Ich pogarda dla konwencji ma stanowić autonomiczny dowód prawdomówności a dowodzi jedynie rozдутego ego. Najlepiej trzymać się sztywnych formuł. Wojsko zapewnia psychiczny azyl: tu nikt nie wymaga prawdy twych myśli. Nie ludzie: żołnierze. Mundury, mundury, mundury.

Spędził dzień w najbliższym miasteczku przy autostradzie. Poszedł do kina, do restauracji. Komputerowa kaligrafia menu przypomniła mu kształt ideogramów xotha. Zamawiając omlet z truflami zastanawiał się, jak właściwie smakuje pośladek niemowlęcia w sosie pieczarkowym; nie może być zły, skoro tak go cenią, a taki HasWarT'wi posiada wcale podobne do moich gusta kulinarne. Chociaż może zdążył się już przyzwyczaić do ziemskiej kuchni; nie wiadomo. Niczego nie można być pewnym, dopóki się samemu nie sprawdzi, powtarzał sierżant na wstępnym szkoleniu.

## Konsultant

Program faktycznie ruszył z kopyta. Otrzymał nową nazwę kodową: Konkwista. Subtelne to nie było. Widocznie potrzebowali sztandarów i hymnów, trąb o poranku.

W każdym razie wyraźnie wzrosła częstotliwość wizyt w Dolinie przeróżnych dygnitarzy; przyjeżdżali i odjeżdżali ciemnymi lincolnami, Ack przyjmowała ich w biurówcu: cywile i wojskowi, pół na pół.

W odpowiedzi na niebezpieczne zwiększenie liczby osób dopuszczonych do tajemnicy, wzmocniono rygory bezpieczeństwa. Płot ogradzający Dolinę podłączony został do generatora, w nocy i w dzień chadzały wzdłuż siatki patrole z psami, zamknięto drogę dojazdową do majątku, we wnętrzach i na zewnątrz budynków zamontowano kamery. Za HasWarT'wim zaczęło łązić na zmianę dwóch goryli.

Kolejną limuzyną o ciemnych szybach przyjechał zapowiedziany przez doktor Ack KroMaDer.

Spotkał się z piątką agentów w sali konferencyjnej na parterze rezydencji.

– Mam tylko trzy godziny – zastrzegł się z góry, ściskając im dłonie – proszę więc od razu pytać, co chcecie wiedzieć.

Był w sztytu na miarę szarym garniturze, we wpuszczony pod kamizelkę jedwabny krawat wbitą miał szpilkę z jakimś półszlachetnym kamieniem, w kamizelki kieszonce – zegarek o srebrnej bądź posrebrzanej dewizce. Gładko wygolony, z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami, w okularach w drucianej oprawce o prostokątnych szklach, w półbutach z czarnej skóry – prezentował się jako wzór konserwatywnego biznesmena u szczytu powodzenia. Sięgał Javierowi tuż poniżej ramienia, a sam w ramionach był z półtora raza szerszy. Miał oczy o dużych, bardzo ciemnych źrenicach, skórę barwy popiołu zmieszanego z gliną. Uścisk dłoni – niczym imadło. Mówił po angielsku z akcentem bez porównania wyraźniejszym niż u HasWarT'wiego; mag, po prawdzie, nie posiadał już właściwie żadnego akcentu.

– Więc jest pan krasnoludem – mruknął Oddstone.

– A jak! – zaśmiał się KroMaDer, sadowiac się w fotelu. Pozostali zajęli miejsca dookoła.

– I jak się panu u nas podoba? – zagadnął Kojak.

– A co, nie widać? To był wielki harkasz, ci zbóje w Szczukach. W przyszłym tygodniu przybijamy fuzję, dziesięć milionów na czysto, nie licząc zysku ze skoku akcji. Widzicie? Daję wam cynk, możecie zarobić; kupujcie Rakona i KMD Limited.

– Pewnie każdemu pan to wmawia, żeby nakręcić popyt – zauważył Aproxymeo.

– Niczego nie muszę nakręcać!

KroMaDer od chwili przybycia na Ziemię zdążył założyć pięć spółek, z czego dwie wprowadził na giełdę nowojorską; jedną splajtował, jedną sprzedał, pozostałe przynosiły mu już milionowe zyski. Robił w nafcie i minerałach. Zaczął od badań geologicznych metodą różdżkarską, wykupywał grunta podług swych przeczuć. Chwalił się, że na giełdzie też gra głównie w oparciu o wróżby Dialogów. Stawiało to włosy na głowie jego maklerom. Na razie jednak najwyraźniej wychodził na swoje. W każdym razie tak opowiadał Dethew, który był kimś w rodzaju przyjaciela KroMaDera, dzwonili do siebie nawzajem mimo cenzury.

KroMaDer trafił na Ziemię w rok po rozpoczęciu programu. Dopadła go kamienna lawina w górach nad Wąwozem Chenów, Chenowie znaleźli go z połamanymi nogami, licznymi obrażeniami wewnętrznymi, objawami wstrząsu mózgu i podejrzeniem pęknięcia kręgosłupa. Nie konsultując się z Doliną przetrucili go na Ziemię. Tu odratowali go zaprzysiężeni wojskowi lekarze. KroMaDer, co oczywiste, nie mógł już wrócić na Raavę, nie było jednak potrzeby trzymać go w zamknięciu, skoro dla całkowitej kontroli przetrutów wystarczyło pilnować HasWarT'wiego. Krasnoludowi wszczepiono nadajnik, wyrobiono paszport i, wymusiwszy na nim przyrzeczenie nie przekraczania granic Stanów oraz okresowego zgłaszania się w Dolinie – puszczono wolno. Teraz Ack pluła sobie w brodę: już tuzin dziennikarzy zgłosiło się do KroMaDera (to znaczy: Adama F. Cromadeera) z prośbą o wywiad; na razie byli to dziennikarze tylko z prasy fachowej (ekonomia, geologia) oraz jeden z periodyku dla niepełnosprawnych – ale, jeśli tak dalej pójdzie, pozostawało jedynie kwestią czasu, kiedy KroMaDer znajdzie się na okładce „People” lub, nie daj Boże, w jakimś telewizyjnym talk-show.

– No. Ludzie. Dalej. Co tylko chcecie wiedzieć o Raavie, a boicie się zapytać.

– Jak pan myśli – mruknął Aproxymeo w xotha nie patrząc na krasnoluda – co by się z panem stało, gdyby umarł im pan na stole operacyjnym?

– Komu?

– Naszym chirurgom.

– No, jak bym umarł, to bym nie żył, nie?

– Ale umarłby pan na Ziemi, nie w Baśni. Co by się stało z pana lloxar? Czy lloxar w ogóle mają

prawo bytu po tej stronie Bramy HasWarT'wiego? Czy są tu drugie Domy Wieczności?

– O kurwa. Nie wiem. Macie tu własnych specjalistów od pośmierci. Sprowadźcie z Raavy jakąś parę kochanków, zapowiedźcie facetowi, że jeśli nie pokaże się o określonej godzinie i nie zda relacji, to przećwiczycie na jego babce całą Księgę Bólu, po czym poderżnijcie mu gardło. To chyba najprostszy możliwy eksperyment.

Piątka spojrzała po sobie.

– Trochę... mhm... – chrząknął Gaspari – radykalne.

– Co znaczy: radykalne? – KroMaDer uniósł krzaczaste brwi. – Cholera, mówimy tu przecież o śmierci.

Zmilczeli.

– No? Pytać, pytać, póki mam czas.

Pytali więc.

– Jakiej reakcji możemy się spodziewać w zetknięciu z przeciętnym Raawańczykiem, który rozpozna niedoskonałość naszego xotha i nieznamość obyczaju w jakichś podstawowych kwestiach? – Przeciętnego? Aa, glica, albo strzepnie ręką albo kijem was przegoni. O co chodzi? Nie ma przeciętnych ludzi. A jakbym was zapytał o reakcje przeciętnego Ziemianina?

– Czytał pan Glücka i raporty o krasnoludach? – Przejrzałem. Bo co? – Ścisłe? – Łgarstw tam nie ma. – Jak rozumiem, nie macie własnego państwa, żadnej ścisłej organizacji, nawet język umarł, ale chyba istnieje jakaś podstawowa wspólnota rasy, ja wiem, chociażby na zasadzie obrony kulturowej, tak jak u nas integrują się emigranci... – Zamyślacie nas wykorzystać antagonizując ludzi i krasnoludy? To oficjalny plan? Kto podpisał? – Nie, nie, skąd... – Co byśmy z tego mieli? – Tak tylko spytałam...

– Co pan wie o HasWarT'wim? – A co pan ma na myśli? – Słyszał pan o nim na Raavie? – Noo, Władca Księżyca to on nie jest. – To znaczy: nie? – To znaczy: nie pamiętam. Mag i mag jedno draństwo, kto by tam ich pamiętał z imienia. A o co idzie? – Nie, nie.

– Pana zdaniem, do jakiego stopnia możemy się odkryć? Jak pan sądzi, gdyby ten i ów zaczął coś podejrzewać – to czy powinniśmy się spodziewać jakichś skoordynowanych działań? – Eee, panie, i tak nikt nie uwierzy. Musielibyście niezłe się postarać.

– Specjalizujecie się podobno w lichwie... – To się nazywa: bank. – Niech będzie. Dajmy na to, że poleci nam pan kogoś z koneksjami w tym interesie i zgłosimy się do gościa z dużą sumą pieniędzy i ofertą kupna guza. Deponujemy kwotę, jaką sobie zażyczy, a on puszcza plotki, że jest kupiec. Anonimowy; albo i wystąpimy z za jakiejś spółki. Co pan na to? – Z pół setki magów, nie licząc Władców Księżyca, ma od lat otwarte bezpułapowe oferty na guzy. Każdy by chciał. A nie liczę jeszcze tych z Na Odwrot i Pięści. – Zaner były chyba jakieś próby, mhm, wydobywania czwahfa z Xoth. – Ci z Xoth zdają sobie przecież z tego sprawę, a i ludzie, którzy postawili tym czarem miasto, na pewno zabezpieczyli guzy. Nie słyszałem o żadnych próbach. Najpewniej wszystkie siedemnaście czwahfa Xoth tkwi zamknięte w skarbcu Zamku.

– To krasnolud wynalazł u was proch, ten FaZun, prawda? – Aha. – Jak to właściwie wygląda teraz z bronią palną? – No, antyprochówki Ka w miastach i... – Ale jaki jest zwyczaj? Nosi się pistolety? – Nie, raczej nie, przynajmniej nie na Rybie. Nie rozumiem, czemu nie pytacie o takie rzeczy HasWarT'wiego, on więcej świata widział niż ja, więcej może wam powiedzieć. – Jego też, jego też... – Co jest, nie wierzycie mu? – Póki co, nie musimy, i tak jest dobrze. Pana słowa w większości też możemy zweryfikować. – O co tu chodzi, do cholery? Podejrzewacie jakiś spisek? – Panie KroMaDer, przecież pan wie: to jest operacja rządowa; czego pan oczekuje? Tutaj wiszą nawet instrukcje użycia kibli.

I tak dalej, aż do zmierzchu.

## Dane operacyjne

Wielki harkasz, rzekł KroMaDer. Kolejny idiom. Skoro symbolem, ostrzeżeniem, znakiem i przepowiednią mogło być na Raavie dosłownie wszystko, nauka o ich analizie i interpretacji posunęła się doprawdy bardzo daleko (nauka lub sztuka, jak kto woli – w Baśni te kategorie często mieszały się ze sobą, exemplum magia). „Harkasz” stanowił jeden z popularniejszych terminów wprowadzonych przez nią do języka potocznego. Oznaczał znak dużej zmiany o silnej zależności międzysymbolicznej. Glück klarował rzecz następująco: *Jeśli na skutek skojarzeń z niedawnego snu postawisz zakład i wygrasz lub przegrasz znaczącą sumę – to sen ów był arkaszem, znakiem małej zmiany. Jeśli zaś w konsekwencji tej wygranej (lub przegranej) przydarzy ci się na przykład śmierć – to był to harkasz. Ponieważ są to rzeczy w pełni ocenialne jedynie post factum, dla ortodoksyjnych symbolistów arkaszem jest każde jedno zderzenie molekuł. TaUKa z Xoth wprowadził kolejne rozróżnienie, na arkasze i harkasze bierne, to znaczy znaki nie włączone w łańcuchy przyczynowo-skutkowe – czyli takie, które sygnalizując, nie prowadzą tym samym do swego samospełnienia. Jego adwersarze wskazują wszakże na nieostrość owej cezury, jako że nikt nigdy nie wie do końca, dla jakich przyczyn robi to, co robi. TaUKa odpowiedział specyfikując zdarzenia sygnalizowane arkaszami i harkaszami biernymi jako wyłącznie niezależne od woli człowieka; tym samym dopuścił możliwość istnienia arkaszy piętrowych, tzn. symboli symboli, co już kompletnie skompromitowało jego ideę. Nuanse raawańskiego symbolizmu, szkoły interpretacji i ideomatyka predykcji -> patrz CR II, 24-30, 47, 49-55, 120-169. Odsyłacze prowadziły Aproxymeo przez grube tomiszczą oficjalnych opracowań Doliny ścieżkami pijanego węża. Nie można poznać Baśni zaledwie częściowo, to niewykonalne; jedyne dostępne poznanie to asymilacja wiedzy zgoła gestaltyczna, kształtem pełni, formą skończoności – tak samo nie zdoła Raawańczyk pojąć treści i sensu pierwszej z brzegu ziemskiej książki, nie przyswoiwszy sobie wprawdzie całości koniecznych informacji o kulturze, historii i języku, owego zamkniętego zbioru kontekstów i skojarzeń. A wszak nawet Glück daleki był od ogłaszania się ekspertem w sprawach Baśni. Nie było ekspertów. I HasWarT'wi, KroMaDer – oni nie mieli pojęcia, co wiedzą a czego nie, dopóki różnica nie uderzyła ich w oczy jaskrawym kontrastem.*

Dialogi stanowiły zaledwie jeden z elementów tego zbioru. Wywodziły się jeszcze sprzed Podziału, wtedy jednak (a przynajmniej tak głosiła legenda) stosowano je nie w postaci kart, a maszyn grających, magicznie sprzęganych z umysłem użytkownika i generujących ciągi melodii. Najwyraźniej żadna z owych maszyn nie przetrwała Podziału. Tradycja Dialogów jednak żyła; w zdegenerowanej, zubożonej i znacznie sprymityzowanej formie wróżby karcianej. A przynajmniej każdy Ziemianin bez wahania nazwałby to wróżbą – HasWarT'wi krzywił się na podobne miano. Poznał tarota, chiromancję, ziemską astrologię (podczas gdy astrologia Raavy była jednym z najciemniejszych kunsztów Baśni, przyłapani na niej źle kończyli) – i twierdził, że Dialogi nie mają nic wspólnego z pospolitym wróżnictwem.

Pełna ich talia (agenci Doliny kupili i dostarczyli na Ziemię kilkanaście jej egzemplarzy) obejmowała sto kart: dziewięćdziesiąt jeden par Głosów czyli właśnie Dialogów oraz dziewięć Akcentów. (Tłumaczenia nazw na angielski pochodziły od Glücka i HasWarT'wiego i z czasem przyjęły się jako oficjalne, chociaż nawet między nimi dwoma nie było zgody co do detali; Dolina wypuściła już jednak własną talię, z dwujęzycznym opisem i komputerowo zeskanowanymi ilustracjami). Istniało trzynaście Głosów, występujących zawsze parami, w kombinacji: każdy z każdym oraz ze sobą samym. Ta ostatnia kombinacja to przypadek szczególny, Monolog. Głosy, poczynając od najsłabszego, zwały się następująco: W Łożu Nierządniczy; Klamra; Bóg; Rozstajne Drogi; Upadek; Idący Po Śladach; Narodziny i Śmierć; W Miłości; Bez Słów; Za Plecami; Zawsze i Nigdy; Dziecko Pyta; Usiądź, Poczekaj, Pomyśl. Każdy Głos posiadał swego synergenta, nicującego jego znaczenie pierwotne; oprócz Klamry, która była synergentem sama dla siebie. Głosy bowiem zawsze odczytywało się Dialogami, nigdy pojedynczo. Stąd

nazwę i samodzielną stałą podstawę interpretacyjną posiadała każda z dziewięćdziesięciu jeden kart. A ponieważ sama ich ilość w układzie pozostawała zmienną niezależną, liczba dających się tu uzyskać kombinacji sięgała nieskończoności. Nadto należało pamiętać o modulującej wyjściową treść roli Akcentów: Krzyk; Echo; Szept; Słuchaj; Wiatr; Cisza; Głęboki Oddech; Drżenie; Kielich Wina. Każdy z agentów otrzymywał w ramach szkolenia swoją talię, zachęcano do samodzielnych ćwiczeń. Rolę instrukcji pełnił „Dziennik Słuchacza”, dostępny zarówno w oryginale xotha, jak i w przekładzie Glücka. We wstępie Glück umiejscawiał Dialogi w kulturze Baśni. *O ile arkasze i harkasze jako pojęcia rodem z filozofii fatalizmu służyć mogą jedynie za tematy jałowych dysput uczonym lub emfaticzne wykrzykniki pospólstwu, o tyle praktycznego wykorzystania tych zjawisk – tzn. maszyn grających a potem kart – już nie należy lekceważyć. Najczęściej działanie Dialogów tłumaczy się jako sztuczne wywołanie rezonansu międzysymbolicznego; akt zapytania – maszyny bądź kart – wywołuje na powierzchni zdarzeń falę, która powraca w odpowiedzi odbiciem od dookólnych arkaszy i harkaszy. W tym sensie Dialogi nie są żadną wróżbą, przepowiednią, nawet same w sobie nie są symbolem: to sposób skupienia – soczewka – symboli i znaków rozrzuconych po świecie, których najczęściej nie dostrzegamy, nie jesteśmy w stanie wyodrębnić i zinterpretować. Starożytne maszyny grające, jako artefakty immanentnie magiczne, wykorzystywały moc tej magii dla dowolnego potęgowania siły pierwotnej fali, dzięki czemu wyrazistość i precyzja uzyskiwanego odbicia równała je z klasycznym jasnowidztwem. Karty natomiast nie są magiczne w żaden uznawany na Raavie za magię sposób. Co więcej – akt ich rozkładania czy odczytywania nie jest arkaszem ani harkaszem, ponieważ nie są nimi nigdy zdarzenia bezpośrednio zależne od woli świadomej czynu istoty: jest to rozróżnienie bardzo ważne dla Raawańczyków. Stąd wynika specyficzny sposób użycia Dialogów: kart się nie losuje – je się wybiera. Tak samo starożytna maszyna grająca – nie losowała melodii; istniało tam jakieś bliżej nam nie znane sprzężenie pomiędzy wybieranymi przez nią melodiami a stanem umysłu, pamięci itp. podmiotu interpretacji. I to, między innymi, był powód pogardy żywionej przez HasWarT'wiego dla ziemskich metod wróżby, niemal co do jednej polegających na ślepych losie: przetasowaniu talii, rzuceniu kości, splocie wyprutych wnętrzości, ślepych ciągnięciu lodyg krwawnika. I chiromancja, jako system implikujący trwałą determinację żywota, przeczyła w jego mniemaniu sama sobie, ponieważ właśnie interpretowała dookólne arkasze i harkasze poprzez dodanie do nich nowego megaharkaszu. Ziemianie natomiast – nawet Glück – w żaden sposób nie byli w stanie pojąć, jakim cudem świadomy wybór tej czy innej karty (bez zawiązanych oczu, w spokojnym namyśle) może zostać uznany za coś innego niż życzeniową manipulację skojarzeniami. Aproxymeo po prawdzie również tego nie rozumiał. Każdy ciągnie jak chce. Cóż mu broni wybrać te Dialogi, które ogłoszą dlań wielką pomyślność i długie życie?*

## Kobieta wróży

Celine znalazła u niego talię dwujęzycznych Dialogów i ułożyła sobie mandalę.

- Jak się z tego wróży? Masz gdzieś opis? To chińskie?
- Zostaw.
- Javier...!
- No, no.
- Kupiłabym sobie takie. Jak to się nazywa?
- Dialogi.
- Dialogi? Nie słyszałam. Gdzie instrukcja?
- No dobra. Przesuń się. Nie tak to się robi.
- A jak? Krzyżem celtyckim?

– W ogóle inaczej. Gdzie tu jest... mhm, Monolog Klamry odkładasz, a resztę w jedenastu szeregach po dziewięć, Akcenty na dole. Tak. Widzisz?

– Koszulkami do dołu?

– Ymhmy.

– Ale nie tasowałeś.

– To nie z tego się wróży, ten układ nie ma znaczenia. Z niego dopiero ciągniesz.

– To je odwróć.

– Nie. Tak ma być.

– Mam zamknąć oczy?

– Nie.

– Nic nie rozumiem. O co w tym chodzi?

– Słuchaj. Siedzisz i patrzysz. Ręce na kolanach. Ciągniesz kartę, którą chcesz. Jak ci się spodoba, jak ci do głowy przyjdzie, jak się skojarzy... no, nie wiem, nie wyjaśnię ci tego dokładniej. Zalecana jest medytacja, stan wewnętrznego wyciszenia, pustka myśli. Chwytasz? Monolog Klamry kładziesz dla zamknięcia układu, on zawsze kończy ciągnięcie.

– To coś w rodzaju seansu medialnego, wirujący stolik, moje dłonie a nie moje, ja ciągnę a nie ja, bo wola sił wyższych – prawda?

– Nie, tu chyba jednak nie o to chodzi.

– Więc o co?

– Cholera, pojęcia nie mam. Powiedziałem ci, ile wiem.

– Wróżba jest ogólna, czy zadaje się pytanie?

– Mam na ten temat sprzeczne informacje. Przyjmij, że ogólna.

– Okay.

Po czym wybrała i ułożyła w rzędzie pięć Dialogów, jeden Akcent, Monolog Klamry na koniec.

– I co to znaczy?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

Zapisał jednak otrzymany układ i potem próbował go zanalizować podług „Diariusza Słuchacza”. Co prawda nie sądził, by był on jako wróżba (czy „interpretacja rzeczywistości”, jak pisał Glück) cokolwiek wart: Celine nie znając znaczenia poszczególnych Głosów i Dialogów de facto je losowała, równie dobrze mogłaby istotnie mieć zamknięte oczy. W najlepszym razie ów układ stanowił kolejny arkasz.

Z analizy niewiele wynikało. Nie potrafił złożyć poszczególnych Dialogów w spójną całość, znaczenia rozchodziły mu się szeroką wiązką. Garść Ziemi... Zabij... Oślepiony Przez Prawdę... Dokąd?... Siedemnaście Elfów... Głęboki Oddech... Cóż to znaczy? Tak dziecko bawi się puzzle'ami, fragmenty mozaiki wypadają mu z nieporadnych dłoni. Kolorowa plama. Rorschach poety.

W nocy uświadomił sobie, co właściwie usiłował zrobić. Baśń rzucała mu się na umysł. Celine akurat nie spała u niego; wstał, poszedł do Kojaka. Kojak też nie mógł zasnąć, pił do Księżycy.

– Co jest?

– Bawiłeś się Dialogami? – zagadnął go Aproxymeo.

– Aha. Ciekawym, kto ma na nie u nas patent, można to wypuścić i zrobić ciężką forszę, taki tarot idzie jak woda. Ale Ack pewnie już zaklepała sprawę.

– Posłuchaj... – Usiadł obok. Chwilę milczał. – Czary Baśni działają u nas, prawda?

– No.

– A jeśli Dialogi również?

– Mhm?

– Arkasze i harkasze. Jeśli również?

– O co ci chodzi? – zmarszczył brwi Kojak.

– Czy nie wydaje ci się... ta Baśń... że ona jakoś przecieka na Ziemię?

## Post factum: harkasz

Jakże ona się nazywała? Radek? Cadec? Julia miała na imię. Wciąż ma. Ona żyje, żyje, musi żyć. Teraz widzę: cóż to był za harkasz, co za harkasz...!

Próbował ją znaleźć w swoim notesie. Nie znalazł. Śniła mu się po nocach, choć nie programował. Julia, Julia, Julia śmierci zaręczona. Czy już zachorowała? Czy już kona? Jej twarz zmieniała mu się pod powiekami od skończonego piękna do skończonej brzydoty. Zjawa, banshee, zwiastun nieszczęścia.

Musiał wiedzieć. To znak: jej telefon; to znak: jej choroba. Czyż nie takie były korzenie jego decyzji? Czyż nie Julii słowem skazał się na Baśń? Jaka zatem jest puenta tego harkaszu? Co jej – jemu – przeznaczono? – życie? śmierć?

Nie pamiętał nazwiska, nie znał numeru telefonu.

## Bibliotekarz

Przyszło mu wezwanie do pokoju 003 w byłej rezydencji właściciela stadniny – Celine poinformowała go, że teraz ten budynek nazywano klubem; sama nie wiedziała, czemu. Poszedł zatem do klubu. Nikt przed nim nie otrzymał podobnego wezwania, znowu był pierwszy.

Izba oznaczona tabliczką z numerem 003 mieściła się w głębokiej piwnicy, przerobionej teraz na magazyn jakichś wyjątkowo cennych towarów, bo wchodziło się tam przez śluzę o parze pancernych drzwi grubości ponad metra – jak do skarbcza banku. Wszędzie kamery, nigdzie okien; zimne światło z lamp nasufitnych niczym w wojskowym laboratorium. Może zresztą istotnie było to wojskowe laboratorium.

Jeden jedyny strażnik wskazał mu zza kuloodpornej szyby kierunek.

003. Zapukał. Cisza. Zapukał ponownie. Cisza. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się.

Wyglądało to na pracownię informatyka. Pod ścianami stanowiska komputerów, w tyle dwa rzędy stołów z monitorami; facet w głębokim fotelu na kółkach śmiga po czerwonym linoleum.

– Javier Aproxymeo?

Ten fotel był luksusowym wózkiem inwalidzkim. Mężczyzna miał bezwładne obie nogi – najpewniej były to protezy. Z prawego rękawa koszuli wystawał mu metalowo-plastikowy chwytak. Kaleka uśmiechał się. Wyglądał na czterdziestkę. Na głowie miał czapkę z logo Chicago Bulls. Palił cygaro.

Javier błyskawicznie rozłożył sobie w myśli Dialogi i pociągnął jeden.

– Majorze Glück.

– Mówili ci o mnie? – spytał Glück w xotha.

– Czytałem.

– Ach, prawda, wy już rzucacie czary.

Javier obejrzał się na drzwi. Dźwiękoszczelne. Spojrzał na terminale.

– Co pan tu robi, panie majorze?

– Jestem bibliotekarzem. Bibliotekarzem Raavy. To duża rzecz: zebrać, skatalogować i opisać księgozbiór całego świata.

– A co ja tu robię? – uśmiechnął się Aproxymeo.

– Będziesz się uczył czytać i pisać w xotha.

– Nie miałem tego w programie.

– Teraz już masz. – Glück podjechał to stołu i podał Aproxymeo skoroszyt. – Oto twoja legenda.

Jesteś arystokratą wygnanym z rodzinnego majątku w Dłoni. Musisz znać pismo. Nauczę cię akcentu Pięści. Razem ułożymy twój natuaż.

– Jest już termin? – zaniepokoił się Javier.

– Nie, jeszcze nie. Ale spodziewaj się. Po Nowym Roku zjedzie tu komisja. Do tej pory Ack wyprawi już was wszystkich. W ogóle – dodał Glück jadąc przez pokój (Aproxymeo szedł za nim) – uważaj na nią, chłopcze. Kilkaset lat temu takie jak one robiłyby karierę prowadząc domy publiczne. Słyszysz mnie, Ack? – podniósł głos. – Burdel ci prowadzić!

– Tu jest podsłuch?

– Znasz jakiś sposób, żeby to sprawdzić?

Skręcił do bocznych drzwi, otworzył je i przejechał do kolejnego pokoju. To dopiero był prawdziwy magazyn. Składowano tu w gablotach pod szkłem i plastikiem książki przywiezione z Raavy.

– Wszystko to hermetyczne, więc mogę sobie kopcić – mruknął Glück. – Do tej pory zgromadziliśmy sto trzydzieści cztery egzemplarze stu trzydziestu dzieł. Wszystkie w pełni zeskanowane i dostępne z pamięci na tamtych terminalach. – Machnął mechaniczną ręką w stronę poprzedniego pomieszczenia. – Podejdz tu. To na przykład jest „Księga Bólu” ARoNa, druga edycja Xoth. Kiedy wynaleziono druk?

– W tysiąc czterysta pięćdziesiątym.

Glück rzucił Aproxymeo wściekle spojrzenie.

– Skup się. O czym my tu mówimy? O Baśń pytałem.

– Sotte. Drugie odkrycie: dziewięćset dwanaście Po Podziale, lloxar Ak' z Domu Wściekłości.

– Tak. Pytanie za tysiąc punktów: dlaczego zmarli czekali aż tyle czasu? Wszak ich nie dotknął Podział, ich pamięć pozostała nietknięta.

– Pan wybaczy, majorze, ale według mnie to nie jest kwestia wyczekiwania do odpowiedniego momentu, lecz potencjału technologicznego i intelektualnego społeczeństwa żyjących. Proszę to sobie przedstawić jako średniowiecze po upadku Rzymu. Trzeba było zatoczyć koło. Przetrwać z minimalnymi uszkodzeniami ten okres odkrywania prawd zakrytych.

– Xa. Chyba masz rację. Mniejsza z tym. Patrz. „Księga Bólu”. Otwierasz na prawo i czytasz od prawej. Druk, a więc naxotha. – Naxotha było zubożoną wersją pisanego xotha, ograniczoną do czterystu sześćdziesięciu podstawowych sylabicznych znaków ideograficznych; ograniczenie to wymogła sama technika druku, nie sposób dla każdej tłoczni ryć czcionek sześćdziesięciu tysięcy ideogramów. – Ile znaków znasz?

– Właściwie tylko te z Dialogów.

– Potrafisz się podpisać?

– Nie próbowałem.

– Nie próbowałeś? – zdumiał się Glück. – To chyba pierwszy odruch: zobaczyć, jak wygląda moje imię. Coś jak lustro. Chodź.

Wrócili do pierwszego pokoju. Major zaprowadził Javiera do stołu w kącie, gdzie, za terminalem, przygotowane było stanowisko do ćwiczeń kaligraficznych. Javier usiadł, podwinął rękawy.

– Tu masz alfabet naxotha – wskazał otwieraną w prawo książeczkę o czarnej okładce. – Wykujesz co do znaku. Ten papier – wskazał przygotowane arkusze – sporządzamy technologią Raavy, ma taką samą fakturę i gładkość. Pisziesz tym.

– Co to jest?

– Kora pewnego drzewa z Ryby, po małej obróbce. Coś jak nasz węgiel szkicowy, ale znacznie bardziej twardy; starcza na dosyć długo. Zwróć uwagę na ukośne cięcie. W zależności od kąta nachylenia, sposobu trzymania i siły nacisku otrzymujesz linie o różnej grubości i różnym odcieniu. Coś podobnego do japońskiej sztuki kaligrafii, ale nie trzeba się babrać w tuszu. Co nie znaczy, że możesz sobie wycierać palce o ubranie, to ciężko schodzi.

– Jak się to glicostwo nazywa?

– Drzewo – njak. Te pisaki – kanjak albo drut.

– Drut? Drut jako drut?

– Tak, tak. Źle to przetłumaczyłem za pierwszym razem i tak już zostało w słowniku – skrzywił się Glück. – Kłopoty z synonimami. Tego njaka używają do eksperymentów z elektrycznością, przewodzi jak glica. Widziałem w Xotha roślinne kable grube niczym lufa armatnia, spuszcza ją pod stropy Poziomów; rozumiesz: lampy łukowe. No, nieważne, bierz się już do roboty. Będziesz tu przychodził codziennie, godziny uzgodnię jeszcze z HasWarT'wim. Byłeś już na szczepieniach?

– Nie.

– To jeszcze masz czas. Przeglądniesz fototekę natuaży, coś wykombinujemy... Mhm, to by było...

– Mogę o coś zapytać?

Glück wzniósł oczy do sufitu.

– Opowieści kombatanckie? – mruknął.

– To na Raavie tak pana urządzili?

– A jak myślisz?

– Co się stało?

– Ech. Powinienem chyba dodać do książki moją notę biograficzną – westchnął Glück teatralnie; co naprawdę teraz myślał, nie dało się odczytać z jego przymrużonych oczu. – Na drodze do guza padłem ofiarą szantażu – zaczął powoli – i zrobiła się z tego krwawa historia, długo by mówić. W końcu miejscowi mnie dopadli. Sąd i tak dalej. Dostałem UnKaI'. Znasz? Będziesz miał czas, poczytasz tu sobie woryginał, zresztą nie tylko „Księgę Bólu”, mam tu naprawdę ciekawe... Xa. Rzucili kości. Wypadło na pięć, czyli powyżej przeciętnego prawdopodobieństwa. UnKaI' polega na czymś takim. Pytają, którą kończynę. Ty wybierasz. Wtedy ją odcinają i losują, czy na tym koniec. Jest jeden kamień na Wolność, reszta na Ból. Ja, jak mówię, miałem szansę jeden do czterech. Po lewej nodze poszła prawa. Znowu Ból. Ręka. Wolność.

– Jest pan mańkutem?

– Nie – odwarknął Glück i odjechał. Fotel sunął po linoleum bezszelestnie.

Aproxymeo ujął czarny kanjak, obrócił w palcach. Bardzo miły w dotyku. Nad Domem Piszę Nikt Idąc. Xa.

## W bibliotece

Były tu romanse orwedockie, i lota, „legendy o magii” sprzed Podziału, i rozprawy filozoficzne, traktaty naukowe, publicystyka polityczna, i zbiory poezji. Agenci Doliny zdobyli dla Glücka dwa z czternastu tomów „Wielkiej Encyklopedii Xoth”. Miał Glück w swych zbiorach także dziennik pierwszej wyprawy KaOOo za Terminator; miał słynne „Listy” – korespondencję młodego Imperatora G' do swej normickiej kochanki; miał antologię dramatów, komedii i sofanii ocalałych z Podziału. Miał dwa zbiory specyficznej poezji Ryby, tak zwanych strun, w rzeczy samej niezmiernie przypominających haiku, choć mniej rygorystycznych w zakładanych z góry ograniczeniach formy. Kazał się Javierowi ćwiczyć także w układaniu tych strun – na czas, na zadany temat, w zadanym nastroju; należało to do kanonu wykształcenia raawańskiej arystokracji: biegłość w poezji.

Glück spędzał w bibliotece chyba całą dobę, bo Aproxymeo zawsze go tu spotykał. Kaleka pracował przy komputerze, sunąc palcami lewej dłoni po miniaturowej klawiaturze sensorycznej mocowanej do poręczy jego fotela, kopcząc cygara i mrużąc coś niezrozumiale pod nosem. Tłumaczył.

– Przechodzę, glica, do historii – odwarknął Javierowi na okazyjne pytanie. – Tworzę klasykę.

I zapewne tworzył. Zapewne była to jego droga do zbawienia, sposób na usprawiedliwienie zaprzepaszczonej w Baśni przyszłości. Bo cóż innego mogło mu zrównoważyć dożywotne kalectwo? Był związany z Baśnią na dobre i na złe, skuty z Raawą łańcuchem mocniejszym od tytanu. Skoro tyle poświęcił; skoro tyle jej dał. Bibliotekarz. Są harkasze i harkasze, a Dialogi zawsze tylko tak szczerze, jak ten, który je układa.

Aproxymeo tymczasem uczył się pisać i czytać – i to była już ostateczna wyprzedaż jego duszy lloxar zmarłego Boga Raavy. Skopiował Glückowe tłumaczenie jednego z erotyków T'wiZa (nie strunę; struny prawie w stu procentach były nieprzekładalne) i pokazał je Celine.

– Tyś to napisał? Ty? Cholera, Javier, z ciebie jest geniusz, książki ci tworzyć; zaraz ci tu z tych kart Nobla wywróżę.

– Prawda, że dobre? Ale nie moje.

– A czyje?

Posiadali wyłączność na historię i kulturę całego świata, i mogli do woli przebierać w dziełach rangi „Iliady” czy „Hamleta”, wszystkich oryginalnych, nie podobnych do niczego, co znali, nie znanych nikomu więcej na Ziemi. Aproxymeo szybko zrozumiał gorączkę trawiącą Glücka; to sytuacja wprost z „Baśni tysiąca i jednej nocy”, niemożliwość na życzenie.

Zrozumiał także to: Glück sam w sobie stanowi przykład literackiego geniuszu. Javier znał wystarczająco wiele wystarczająco wzajem sobie obcych języków, by mieć tę pewność: każdy przekład jest tylko tak dobry, jak tłumacz, bo najpiękniejsze w oryginale dzieło sprowadzić można w braku talentu u tłumacza do poziomu ciężkiego kiczu.

Kanjak w dłoni i naxotha przed oczyma. To zupełnie inny rodzaj pisma, gdy sam kształt znaku niesie informację i wrażenie estetyczne – do tego stopnia, że litera, ideogram urasta do dzieła sztuki. Ręka pewna. Oko prawdomówne. Geometryczność myśli. Jest w tym coś z układania Dialogów – ten sam paradoks wymuszonej nieświadomej szczerości. Lecz – co znaczy: być szczerym? Kłął Glück Javiera w żywy kamień. – Nie wiem, jakim cudem uwierzy ci kto w to twoje szlachectwo. Pisziesz jak batem do druta przyuczony krasnolud. Skup się, a ioo oth. Nawet twój autograf wygląda niczym mordą upióra.

## Pięcioro z Doliny

Nie było już sposobu, żeby nie wiedzieli, wyprzedzał ich o parę długości. Spodziewał się zazdrości, zbiorowej niechęci. Błąd. Gdzieś pomiędzy drugim a piątym miesiącem pobytu w Dolinie diametralnie zmienił się panujący wśród przyszłych agentów nastrój. Już nie misja i wyróżnienie i duma z przynależności do elity. Teraz rozmawiali na swych spotkaniach w podziemi biurowca o znanych im z autopsji oraz z armijnej legendy przypadkach nagłej a niespodziewanej śmierci na służbie. Może nie aż mięso armatnie, ale – saperzy, spadochroniarze pozbawieni wsparcia. Baśń śniła im się po nocach jaskrawymi koszmarami rodem z niskobudżetowych horrorów. A jedynie Aproxymeo i Iggletone-Yax potrafili sobie zaprogramować sny, chroniąc się przed Raawą nocy. Tu sięgał Kamień; zdawało im się, że wręcz czują zaterminatoralne zimno przeklętych krain Baśni.

– Co to właściwie jest? Jakiś ich miejscowy demon?

– Pamiętajcie, że wciąż nie mamy potwierdzenia – wtrącił Oddstone. – Legenda. Nikt go nie widział na oczy. Nic dziwnego, że imaginują sobie w nadirze wypotworzone przeciwieństwo Południa.

Spojrzeli na niego z niesmakiem.

– Akurat; jaki racjonalista, myślałby kto – parsknęła Janice. – Też przecież w niego wierzysz.

– Zróbmy może jakiś plebiscyt – rzucił Javier znad kufla. – Kto wierzy w elfy?

Wszyscy.

– We Władców Księżyca?

Wszyscy.

– W sam Księżyc?

Oddstone i Kojak się wyłamali.

– Co jest? – zirytowała się Janice. – Przecież na Władców zgodziliście się.

– Co innego funkcja, tradycja, tytuł i polityczna manipulacja – zaakcentował Oddstone – a co innego fizyka.

– Właśnie – przytaknął Kojak. – Ten numer z satelitą takich rozmiarów, że rzuca cień jak na tej mapie w encyklopedii, a ciskają nim sobie od Terminatora do Terminatora i w ogóle go nie widać w Dniu... no to po prostu jest niemożliwe.

– A wodnicy?

– Nie znamy reszty tego systemu planetarnego. Ich Słońce może mieć ciemnego towarzysza.

Szło o to, że Dolina swego czasu zleciła agentom zbadanie kwestii przyptyków i odpływów mórz Raavy; miało to stanowić dowód pośredni na istnienie – bądź nieistnienie – Księżyca. Pływy występowały, były wszelako doskonale nieregularne. Każda wioska rybacka, każdy port posiadał własnych wodników – ludzi o bliżej nie sprecyzowanych psychicznych (a raczej parapsychicznych) uzdolnieniach, pozwalających im określać z pewnym wyprzedzeniem pory przyptyków i odpływów.

– Satheno. Dalej. Podział.

Wszyscy.

– A co, to niby jest fizycznie możliwe? – naskoczyła Janice na Kojaka.

– Zbyt wiele danych, żeby wątpić – mruknął Kojak, cokolwiek jednak skonfundowany.

– Llox.

Znowu wszyscy.

– Dialogi.

– To znaczy – co?

– Że faktycznie działają jak stoi w „Diariuszu”. Arkasze, harkasze, te rzeczy.

Nikt.

– Ich zmarły Bóg.

– Odbiło ci, Javier?

– Pytam się. Jeśli nie – to nie.

Faktycznie, też nikt.

Aproxymeo spojrział na nabazgraną na serwetce tabelkę.

– Jakaś głupota z tego wyszła.

Gaspari wzruszył ramionami, potem strzepnął ręką.

– Co chcesz; Baśń.

## Natuaz

Zwał się ARoSyMeO; na Rybie czy na Na Odwrot oznaczałoby to co najmniej Rejestr Przejścia w Dzicy, lecz wszyscy wiedzieli, że na Dłoni panuje bałagan w genealogiach wysokich rodów. Zaner Dłoi. Szarpan, prowincja w Wieczorze, nadmorski majątek nad Rzeką Krwi. Lenno warunkowe Straży, Rda. Wygnany z przyczyn, o których nie chce mówić (rzecz do dowolnego zmyślenia). Skłócony z rodowymi lloxar.

Natuaze posiadali na Dłoni wszyscy szlachetnie urodzeni oraz większość tych z pospólstwa, których było na to stać – w każdym razie takie panowało przekonanie na dwóch większych kontynentach, co

w tym przypadku było ważniejsze od stanu faktycznego. Szło o to, by wystarczał sam widok Javiera, by natuaż mówił za niego. Sztuka natuowania rozwinęła się właśnie na Dłoni, i to – jak wieść niosła – już po Podziale. Od zwykłego tatuażu różniło ją zamieszanie magii w proces nakłuwania skóry. W istocie natuażystami mogli zostać jedynie ya o pewnych, choćby minimalnych, uzdolnieniach w zakresie rzucania czarów. Natuaże bowiem, choć trwałe, były malunkami zmiennymi i – w obrębie powierzchni dermy poddanej iniekcji sekretnym wielobarwnikiem – podlegały płynnym transformacjom, od kształtu do kształtu, od koloru do koloru. W żadnym razie nie były to jednak transformacje przypadkowe. Przede wszystkim – natuaż zawsze przedstawiał coś konkretnego, nie był to wyłącznie zbiór różnobarwnych plam. Nadto zaś – istniała silna, choć nie podlegająca świadomej kontroli, korelacja pomiędzy stanem umysłu posiadacza natuażu (w ogóle: psychiką) a obrazem owym natuażem przedstawianym. Aby nie nakładać nań z góry sztucznych ograniczeń, szlachcice z Dłoni natuowali całe ciało, pozwalając malunkowi swobodnie się po nim przemieszczać, zmniejszając się i powiększając; natuowano po przejściu z czasu dziecięcego w czas dorosłych.

Rzecz jasna, nikt w Dolinie – nikt na Ziemi – nie potrafił stworzyć prawdziwego natuażu. Szło o przekonującą fałszywkę. Ze zdjęć robionych przez agentów przybyszom z Dłoni obliczono przybliżone tempo metamorfoz magicznych malunków. Nie było ono aż tak duże, by blef mógł się okazać dla Aproxymeo groźnym.

W komputerze biblioteki znajdował się katalog z plikami wszystkich fotografii i filmowych kadrów z Raavy, na których choć mignął natuaż. Glück skompilował je w istny album naskórnych fresków, zsortowanych tematycznie i rozmiarami oraz podług płci i wieku.

– Powiedzmy sobie od razu, że nie idzie nam o efekt artystyczny, lecz o uwiarygodnienie twojej legendy – rzekł Glück. – Zanim po pierwsze: malunek musi pokrywać skórę w możliwie najbardziej widocznym miejscu. Choćbyś miał, jak Justus, całe plecy zabazgrane, nic by ci to nie dało, bo musiałbyś się każdemu spotkanemu rozbierać do pasa, a rzecz w tym, żeby wywoływać aprioryczne przekonanie, iż pochodzisz z Dłoni, i Klamra; nie będą nawet pytać, a już na pewno nie poproszą cię o podpis, bo to by był twój koniec, he he he. Zanim...

– Chwila, moment...!

– ...będzie to twarz.

– No nie, tego mi nie zrobisz.

– Będzie to twarz – kontynuował Glück. – Najpierw się zastanów, potem protestuj. Przecież nie zostanie ci to na całe życie; nie będzie to nawet zwykły tatuaż, stosujemy specjalne barwniki, po powrocie wyczyścimy cię bezboleśnie, ślad najmniejszy nie pozostanie.

– Czy mi się wydawało, czy też to ja miałem decydować?

– Może ci się i wydawało. Teraz – co się tyczy samego malunku. Spójrz na to.

– A żebyś Kamienia dotknął!

– Niezłe, co?

– Glück, na śmierć Boga, ja mam mieć to na twarzy?? Cóż to za monstrum ohydne? Żyje to-to na Raavie? Skądżeś je wytrzasnął? Z „Obcego” zerznąłeś?

– Mhm, jest to łeb pewnego pasożyta wewnątrzustrojowego, w powiększeniu jeden do trzystu.

– To żart, prawda?

– Co?

– Nie pozwolę sobie coś takiego wytatuować na twarzy.

– Javier, Javier, czego ty się boisz? Nie bądź dzieckiem. Przecież wiesz, o co tu się gra. To nie konkurs piękności; to wyścig po guz.

– Wyścig? Co masz na myśli?

Glück westchnął. – Sądziś, że jak długo uda się utrzymać w tajemnicy całą tę imprezę? Wkrótce

zjadą tu politycy; możesz już zacząć liczyć czas do przecieku. To nieuchronne.

– Inne państwa...

– Nie tylko rządy. Pomyśl chociażby o takim korsze. Czy potrafisz w ogóle wytyczyć pułap potencjalnym zyskom? No. Sam widzisz. Zaner nie kaź mi się tu zalić nad swoją utraconą urodą.

## 194 dni

A potem otrzymał oficjalne zawiadomienie o wyznaczeniu daty przerzutu i znowu horyzont przyszłości zawinął mu się stromo wzwyż lustrzanym wałem. Zaraz powyznaczano także daty klucia tatuażu, ostatecznych badań lekarskich i szczepień. Obowiązek szczepień agentów wprowadzono po tym, jak młodszy synek Chenów zmarł na ściślicę. Raava posiadała własne choroby, własne zastępy bakterii i wirusów, wyewoluowały „w bok” od ziemskich. Genetycy Doliny (a było to wszystkiego trzech doktorantów plus technicy laboratoryjni i informatycy, w sumie nie więcej jak tuzin etatowców) wciąż trudzili się nad sporządzeniem drzew raawańskiej ewolucji i nadal próbowali „dosztukować” ten fragmentaryczny obraz do wykresu ewolucji ziemskiej. Skoro istniało tu fundamentalne braterstwo białka i kwasów nukleinowych, skoro aż rzucała się w oczy konwergencyjność ziemskich i raawańskich flor i faun, posunięta do niezaprzeczalnej kompatybilności organizmów najwyższego stopnia złożoności, humanoidów we wszystkich ich baśniowych odmianach, ya, oraz Linneuszowskiego homo sapiens – musiało zatem zachodzić głębokie powinowactwo obu tych ścieżek życia.

Kowalski i Dethew wystawili Javierowi pozytywne oceny już jakiś czas temu; HasWarT'wi ćwiczył z nim do samego końca. Już nic nowego nie starał się go nauczyć – testował u Aproxymeo jedynie refleks, orientację i umiejętność wymuszonej, natychmiastowej koncentracji. Te treningi przerodziły się wreszcie w coś w rodzaju pojedynków pomiędzy magiem a Javierem, mentalnej gry w „nożyce, papier i kamień” – w której, co zaskakujące, Javier nierzadko zwyciężał. Oczywiście zdawał sobie sprawę, iż dzieje się tak wyłącznie dlatego, że HasWarT'wi ogranicza się do tego skromnego zasobu czarów, które poznał był Aproxymeo; niemniej – były to zwycięstwa.

Świadectwo wystarczającej znajomości xotha wystawił mu również HasWarT'wi, choć Javier nie wątpił, że na biurku doktor Ack wylądowały także stosowne raporty autorstwa Glücka, Kowalskiego i Dethewa. Ten pierwszy, po prawdzie, nadal uważał, iż Aproxymeo pisane naxotha jest absolutnie nie do zaakceptowania – lecz Ack najwyraźniej niewiele to obeszło. Wszyscy tu w Dolinie zdawali sobie sprawę, iż cały ten trening agentów stanowi wciąż jedynie pokrytą urzędowym rytuałem improwizację i nie da się podobnego systemu utrzymać na dłuższą metę. Smith mówił bez ogródek: – Jesteście ostatnią piątką szkoloną tak chaotycznie. Świeży nabór wejdzie już w rygor iście wojskowy. Wyście tu mieli właściwie wczasy, kursy jakieś indywidualne według chęci i nastroju, aż obrzydzenie brało; myślicie, że nie wiedziałem o tych panienkach? że nie wiedziałem o waszych kacach porannych? Ale to koniec. Wy jesteście ostatni. Instytucjonalizujemy się. Stanie tu kolejna agencja rządowa. – Trudno było się wyznać, czy Smith jest z tego zadowolony, czy nie. Niewątpliwie miał coś komuś za złe.

Skompletowano ubiór ARoSyMeO; miał się Javier nosić podług mody Pięści, a w każdym razie podług tego, co za takową modę uchodziło w oczach krawców Doliny, zaopatrzonych, miast żurnala, w kilkadziesiąt zdjęć wykonanych przez agentów ludziom przybyłym na Rybę z Dłoni. Glück kręcił nosem, ale HasWarT'wi tylko strzepnął ręką.

W sto osiemdziesiątym ósmym dniu pobytu w Dolinie Aproxymeo zaczął na dobre wchodzić w skórę szarpańskiego szlachcica Nad Domem Wieczna Mgła Idąc. Usunięto mu wszystkie plomby. Włosy, nie przycinane przez cały ten czas, podgolono mu teraz nad uszami i spleciono na karku. Wówczas przyszedł czas na tatuaż. Rozrysowano go i wypełniono kolorami w ciągu jednej nocy. Zaczynał się na plecach,

ciągnął przez bark, obojczyk i kark, wspinał na policzek i kończył na powiekach i u nasady nosa rozwartą gębą potwora, szczyrzyły się w niej haczykowate kły, gorzał czerwony mrok.

Szczepienia przeszły bez kłopotów; niewielki skok temperatury, nic poważniejszego. Celine znalazła u niego ich ślady.

– Afryka? Karaiby? Rejon Kanału?

– Mhm?

– Co ja, oczu nie mam? Wyjeżdżasz. Jutro?

– Pojutrze.

– Cóż. Przypuszczam, że żądać, byś dał znak po powrocie, to może być jednak zbyt wiele.

– Nie. Celine. Spójrz na mnie. Spójrz. No. Już. Nie ma potrzeby. Okay? Okay? Na pewno zadzwonię. Ale to jest teraz; i twój żal jest teraz. Najprawdopodobniej nie będziesz mnie w ogóle pamiętać. Kto wie, ile czasu nas przedzieli? Rok? Dwa? Trzy? To będzie raczej nieprzyjemne zaskoczenie, sama wiesz. Ale zadzwonię. Obiecuję teraz i dotrzymam wtedy. Słowo. Choć ja to już nie będę ja i ty to już nie będziesz ty. Widzisz? Kłamię sobie teraz szczerze. Moje słowo. Ale ty wiesz. Prawda? Wiesz.

## Stypa

De facto była to stypa. Dethew, Kowalski, Kojak, Oddstone, no i Aproxymeo. Podpisał się na ścianie; zanim się zorientował, wyskoczył mu spod dłoni autograf AROSyMeO, ostatnio tak pilnie ćwiczony; zaner obok podpisał się powtórnie.

– Jezus Maria, Javier, obróć-no się do światła – machał na Aproxymeo Kojak. – Pokaż mordę.

Widzicie? Horror dla ubogich. W cyrku cię trzymać, dzieci straszyć.

– A ten twój – zagadnął Javier Dethewa z powrotem siadając przy stole – to nie jest natuaż?

– Nie. W ogóle inna para kaloszy. Ale zjeżdż ze mnie. To twój wieczór.

– Mój. Co za nastrój, stypa jakaś.

– Nie mów...

– Ale to prawda! – zachnął się Kojak. – Czuję przecież. Wy – wskazał brodą Dethewa i Kowalskiego – macie rzecz już za sobą, ale mnie i Carla dopiero to czeka. Mało brakuje a zaczną mi się trząść kolana. O co tu chodzi? Skąd to przygnębienie?

– Ja – wymamrotał Justus w xotha do wnętrza swej szklanki – z chęcią bym przecież tam wrócił.

A ty? – spytał Kowalskiego i zaraz odpowiedział sam sobie: – Wiem, że też.

– Wy jesteście szaleni, zaraziło was, nie o to pytałem. Skąd to przeświadczenie, że posyłają Javiera na śmierć? Przyszły jakieś wieści? Macie dostęp do jakichś utajnionych informacji?

– Eee-tam. Do niczego nie mamy dostępu.

– Zaner?

Równocześnie: Kowalski wzruszył ramionami a Dethew strzepnął ręką.

– Harkasz – szepnął Oddstone.

– Co?

– Nikt nie potrafi wyjaśnić. Od nikogo nie zależy. Gdyby miało powód i wynikało z waszych świadomych decyzji – nie byłoby symbolem, nic by nie znaczyło i przed niczym nie ostrzegało. Ale nie ma powodu i nie wynika. Pociągnij sobie Dialogi na to przecucie, Javier.

– Pieprzę Dialogi. To nie jest system z naszego świata. Żeby naprawdę funkcjonowały, trzeba by wywrócić rzeczywistość na nice: nie determinizm i nie probabilizm, a sen malarza-kabalisty. Lloxar Boga, a ioo oth! To nie jest nasza rzeczywistość.

Kowalski zapatrzył się tępo w sufit.

– Ale – zaczął po chwili – ale przecież od momentu otworzenia przejścia... i im częściej i im dłużej jest ono otwarte... w końcu skoro przechodzimy nawzajem, oni na Ziemię, my na Raavę, i w te i we w te... wpływy... nie można odgraniczyć... to jakoś... rozumiecie?

Aproxymeo pochylił głowę, łeb potwora połknął cień. Gdybym tylko umiał pociągnąć te cholerne Dialogi. Czuję. Wiem.

Baśń. Ona przecieka.

## Status misji

– Zanim cię pożegnam – powiedziała doktor Ack – muszę ci jeszcze wyjaśnić parę istotnych kwestii. Jak zapewne wszyscy się zorientowaliście, bliski jest przełom w programie. Konkwista. Tak. Ten nowy czterdziestoosobowy nabór to tylko początek. Zamierzamy zarzucić sieci jeszcze szerzej i prawdopodobnie trafimy także jeszcze na kilku z uzdolnieniami podobnymi do waszych. To znaczy – z talentem do magii. Magii, rzucania czarów. Jak to brzmi? Muszę się przyzwyczajać... W ciągu roku zmieni się wszystko nie do poznania, i to niezależnie od tego, czy zdobędziemy guz, czy nie. Rozumiesz mnie, Javier? To już nie jest kwestia bilansu strat i zysków, decyzji poszczególnych ludzi; to już presja systemu, i nawet logiką nie zatrzymasz tego procesu, w rzeczy samej jest on z gruntu alogiczny. Guz... guza potrzebujemy, żeby się uratować przed nami samymi. Pomyśl, co się stanie, gdy sprawa wybuchnie a my wciąż nie będziemy dysponować stałą Bramą.

– Glück wspominał... inne państwa, korporacje...

– Tak. Między innymi. Możesz na przykład przyjąć jako pewnik, iż HasWarT'wi nie pożyje potem dłużej jak parę tygodni. I on zdaje sobie z tego sprawę. Czy doprawdy nie dostrzegłeś u niego owego rozdrażnienia? Ci goryle – myślisz, że to tylko dla ochrony? On będzie próbował uciec; byłby głupcem, gdyby nie próbował. Podczas przerzutu... sam zobaczysz. Cały dotychczasowy układ się sypie.

– Rozumiem, że sytuacja jest poważna. Presja czasu. Czwahfa...

– Javier. Poruczniku Aproxymeo. Nikt w całej historii programu nie miał tak dobrych wyjściowych referencji jak wy. Dokonuję wyborów na podstawie dostępnych mi danych. W tej chwili na Raavie znajduje się dziewięciu naszych agentów, co do których możemy być pewni, że żyją i pozostają lojalni, i z którymi utrzymujemy przez Chenów ciągły kontakt; samych Chenów tu nie liczę. W momencie twego przejścia na Raavę znajdą się oni wszyscy pod twoją komendą. Trzech jest od ciebie wyższych stopniem. Chociaż to nie powinno mieć znaczenia, wiem, że będzie miało – na czas misji zatem zostajesz awansowany na majora.

– Dziękuję.

– Nie wiem, czy dobrze mnie zrozumiałeś. Każde z tej dziewiątki posiada doświadczenie w sprawach Baśni nieporównanie większe od twojego. Byłbyś zatem głupcem zachowując się faktycznie jak dowódca w stosunku do podwładnych; ja wiem, że nie jesteś głupcem, ani megalomanem czy zakochanym we władzy żołdakiem, więc zakładam, że nie będziesz tak postępował. Nadto pamiętaj, że Chenowie nie podlegają ci w żaden sposób, i że rozkazy wydawane przez nich są rozkazami Doliny.

– To bez sensu. Dlaczego ja?

– Ponieważ będziesz tam jedynym z naszych agentów, który opanował arkana magii. I nawet po przejściu kolejnej czwórki pozostaniesz spośród nich najbieglejszym w tej materii. A także dlatego, że poleciły mi cię trzy z pięciu osób, które zapytałam. A przede wszystkim – przede wszystkim dlatego, że jesteś nowy, jeszcze nie zakosztowałeś Baśni i przypuszczam, zakładam, muszę zakładać – że istotnie będzie ci zależeć na zdobyciu guza. Wierzę w twoją ambicję. Smith zdał mi relację z waszej rozmowy; ty – ty zostań tym, o którym będą kręcić filmy i pisać książki. Proszę. Droga wolna. Cóż potężniejszego od

chciwości? Stawiaj na czarne, one wygrywają znacznie częściej.

– To nie jest chciwość.

– A co? Jesteś ambitnym młodzieńcem. Na szczęście nie są to ambicje nieuzasadnione.

– Nie jestem ambitny.

– Jesteś. Czego się wypierasz? Marzeń? Nawet masochiści marzą o de facto przyjemności. Przecież czytałam twoją teczkę. Stawiam na ciebie, bo ty stawiasz na siebie. To się nazywa zbieżność interesów.

Guz. Oboje wygramy.

– Doktor Ack... czy mogę o coś spytać?

– Nie graj mi tu splonionej dziewicy.

– Czy w bibliotece Glücka jest podsłuch?

– Do widzenia. Życzę powodzenia, majorze.

– Do widzenia, m'dam.

## Zanurzenie

Całość wyposażenia Aproxymeo zapakowano do czterech toreb. Przyleciał Sikorsky w barwach U. S. Navy, zabrał bagaż, Javiera, HasWarT'wiego, Smitha i dwóch goryli. Wszyscy – za wyjątkiem Raavańczyka – byli w tak zwanych „ubraniach roboczych”, to znaczy szarych wojskowych kombinezonach. Aproxymeo ponadto przez cały czas nie zdejmował hełmu i wielkich lustrzanych okularów – ale i tak załoga gapiała się na wyzierające spodeń fragmenty tatuażu. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Lecieli blisko dwie godziny. Potem szybka przesiadka do stareńkiego Grummana Greyhounda, który czekał na nich, załadowany dodatkowym cargo: sześcioma metalowymi pakami o rozmiarach małych samochodów. Grumman grzał już silniki i wystartował gdy tylko zapięli pasy. Tym razem lot trwał znacznie dłużej; widocznie samolot wyposażony był w dodatkowe zbiorniki paliwa, bo nie tankowali w powietrzu. Gonili wschód słońca. Dali za wygraną gdzieś w połowie drogi na Hawaje. Z nieskończonego błękitu oceanu wyskoczyło kilka szarych pryszczy. Wylądowali na lotniskowcu po okropnej powietrznej huśtawce, jeden z goryli porzygał się do papierowej torebki.

Tu znów helikopter. – Mamy chwilę czasu! – wykrzyczał do nich pilot. – Najpierw idzie martwica! – Istotnie, pierwszą z metalowych skrzyń już podwieszano pod zawieszono w niszczącym uszy huraganie jego śmigieł Sea Hawka. Smith spojrzął na swój satelitarny zegarek. – Trzy kwadrans!

Z mostku przyniesiono im gorącą kawę w styropianowych kubkach; w smaku – paskudztwo. Morze było spokojne, ale goryl rzygał nadal. W końcu Smith odesłał do go lazaretu, podejrzewając zatrucie. Dalej poleciali we czwórce.

Śmigłowiec po krótkim locie tuż nad powierzchnią wody zawisł nad obłym czarnym kadłubem gigantycznej łodzi podwodnej. Kadłub był szeroki, morze spokojne – nie musiano spuszczać pasażerów helikoptera zapiętych w uprzężach: wyskoczyli z maszyny zawisłej metr nad płaszczyzną stali. Natychmiast otoczyła ich grupa marynarzy, zabrali bagaż, zaciągnęli do wejścia. Śmigłowiec odleciał.

Ledwo się znaleźli w środku okrętu, rozbrzmiał sygnał zanurzenia. Po chwili pokład zaczął się przechylać ku dziobowi. Szli w głąbinę.

Smith, który najwyraźniej czuł się tu jak u siebie w domu, poprowadził Javiera krętymi korytarzami zgodnie z kierunkiem przechyłu; maszerowali odgięci lekko w tył, okręt był olbrzymi, droga długa, zaczęły Aproxymeo boleć kostki nóg – łódź wciąż się zanurzała, kadłub trzeszczał jej coraz głośniejsz ulegając ciśnieniu wody. Obejrzawszy się, ujrzał Javier idących ich śladem HasWarT'wiego z gorylem, wymieniali półgębkiem jakieś ponure uwagi; dalej jeszcze, ukazując się w perspektywie co dłuższych

korytarzy, ciągnęli dwaj marynarze z bagażem Aproxymeo. Mijani członkowie załogi obdarzali tę miniprocję przelotnymi spojrzeniami, niektórzy spoglądali z zaciekawieniem a niektórzy wręcz obelżywie obojętnie.

W końcu dotarli do dawnego przedziału raketowego. Gródź w stalowej ścianie otworzyła się po przesunięciu przez Smitha przez czytnik karty magnetycznej. Marynarze wrzucili torby do środka i odeszli. Major wykonał zapraszający gest. Chyląc głowę, HasWarT'wi przekroczył próg; po nim Aproxymeo; na końcu Smith, który zatrzasnął gródź – ochroniarz został na zewnątrz.

Przedział raketowy był ogromny, to głównie z jego powodu łodzie podwodne przenoszące strategiczną broń jądrową posiadały tak gigantyczne rozmiary. Z tego, na dodatek, usunięto konstrukcje wszystkich wyrzutni i nic nie przesłaniało widoku. Ciągnął się i ciągnął. Niegdyśjsze nagie kratownice jego podłogi pokryte zostały pseudogumową wykładziną i wyglądał teraz jak sala treningowa jakiegoś nowego, tajemniczego technosportu. Czerwone światło lamp kojarzyło się Javierowi z Wieczorem Raavy – już czuł się jedną nogą w obcym świecie.

Przetransportowane wcześniej przez śmigłowiec kontenery starannie ustawiono na oznaczonym białą farbą polu w ciasny prostokąt. Smith podszedł do nich, przyjrzał się nalepionym nań formularzom, wyjął długopis, postawił parafy. Zerknąwszy na zegarek, postukał się długopisem w zęby. Potem zawrócił do najbliższego zamontowanego w ścianie aparatu wewnętrznej łączności i wdał się z kimś w długą rozmowę.

HasWarT'wi wskazał Aproxymeo sąsiednie zamalowane pole, mniejsze od tego zajmowanego przez kontenery. Złapali za torby, każdy po dwie, przenieśli na białe koło. Tymczasem zakończyła się faza zanurzenia i okręt wyrównał do poziomu. – Współrzędne – mruknął HasWarT'wi. – Zawsze się męczą z tą lokalizacją. Prądy i tak dalej. Systemy inercyjne nie są aż tak precyzyjne, a z satelitą z tej głębokości na falach długich ciężko to idzie. Postawili tu boje głębinowe dla triangulacji sonarowej, ale i tak zabiera to czas. No, nie denerwuj się, z pionem w każdym razie nie mieli kłopotów. – Co ciekawe, mówił to po angielsku.

Javier otworzył jedną z toreb, zdjął hełm i okulary; przebrał się w milczeniu. HasWarT'wi wysunął ze ściany krzeselko. Usiadłszy, zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Przez chwilę przyglądał się Aproxymeo, później zamknął oczy.

Aproxymeo położył się na wznak na środku białego koła, pod głowę wsunął dłonie. Usiłował nie myśleć o niczym. Nad sobą miał owal otworu wyrzutni, przez który, traktując go niczym klapę luku ładunkowego, spuszczone tu kontenery. Miękką czerwień światła kładła się na wszystko cienką warstwą chłodnej mgły.

- Gotów! – krzyknął Smith od aparatu.
- Nareszcie – mruknął HasWarT'wi. – Ustoją?
- Dwie minuty.
- Satheno.

Problem polegał na tym, że HasWarT'wi nie był w stanie dowolnie rekonfigurować czaru translokacji międzyświatowej i nie potrafił ominąć w nim formuły centrującej Ziemię i Raavę przez trójwymiarowe nałożenie na siebie grawitacyjnych środków tych planet – a promień Raavy był prawie o dwa kilometry mniejszy od promienia Ziemi. Stąd konieczność dokonywania przerzutu w zanurzeniu, i to w takim miejscu, by jego odpowiednik w Baśni wykazywał spore wyniesienie poziomu gruntu ponad poziom raawańskiego morza. Chata Chenów stała wysoko w górach.

- Czy on śpi? Co, HasWarT'wi?
  - Nieważne, daj mu spokój. Można już?
  - Można.
- Czerwień, czerwień.

## Gdyby Siedem Słońc

Nawet przez opuszczone powieki: róż. Podświadomie wstrzymał również oddech: w płucach wciąż miał powietrze z Ziemi.

Zakazane było, stanowczo zabronione przerzucanie kogokolwiek w takiej pozycji – leżącego, nieświadomego otoczenia – wszak mogło dojść do chwilowego rozejścia się poziomów, mógł przerzucany „spaść” nawet z dwóch metrów. Ale wręcz fizycznie pragnął ryzyka, przynajmniej substytutu prawdziwego zagrożenia dla zaznaczenia tej chwili. Zresztą w rzeczy samej nie wierzył w pomyłkę HasWarT'wiego czy nawigatora okrętu. Historia projektu nie zanotowała żadnych poważnych wypadków podczas przerzutów.

Ziemia uderzyła go w plecy i to już była ziemia Raavy. Krzyk Smitha ucięty został na samym początku artykulacji słowa. Co takiego on właściwie krzyczał? Aproxymeo otworzył oczy i skoczył na równe nogi, zanim pomyślał co czyni. Instynkty, odruchy. Wciągnął powietrze. Ten zapach, mój Boże, ten zapach: tak pachnie Bańń.

Spojrzał na HasWarT'wiego. HasWarT'wi stał pięć kroków odeń, przy kontenerach. Właśnie wyjmował dłoń z kieszeni spodni. W dłoni strzykawka. Telekinetycznie ściągnął osłonę igły. Rękawy koszuli podwinął był jeszcze na łodzi podwodnej i teraz od razu wbił tę igłę w żyłę na swym lewym przedramieniu. Wbiwszy, uniósł wzrok na Aproxymeo. – Patrz – rzekł po angielsku, po czym zniknął.

Javier natychmiast skręcił w myśli deziluzator. HasWarT'wi, nadal tłocząc do krwioobiegu ciemną ciecz ze strzykawki, wchodził w jasnoblękitny, horyzontalny wir. Javier skoczył za nim. HasWarT'wi rzucił mu szybkie spojrzenie. Ubranie Aproxymeo stanęło w ogniu. Aproxymeo w mgnieniu oka spuścił na siebie czar przeciwogniowy. Zakręciło mu się w głowie od skoku ciśnienia. Zamrugał. HasWarT'wi zniknął w wirze, pędzący po spiralach błękit skręcał perspektywę, oddalony o parę metrów mag malał i malał, jakby uciekając wgłąb kilometrowego tunelu. Javier błyskawicznie upłócił myślotrutnia i posłał go za HasWarT'wim. Mag obejrzał się po raz drugi. Z błękitu wystrzeliło kilkanaście lodowych sopli. Aproxymeo odskoczył w bok, w ostatniej chwili unikając śmiertelnego podziurawienia; potknął się przy tym o torby ze swym bagażem i przewrócił. Poderwał się z powrotem, ale wir już zniknął.

– A ioo oth! – szepnął z podziwem cztero-, pięcioletni chłopczyk, siedzący na wysokiej skrzyni i wytrzeszczający stamtąd oczy na Javiera.

Javier rozglądnął się dookoła, próbując przewyciężyć wszechdezorientację. Rozwiązał deziluzator, uciął linię do myślotrutnia.

– Sotte... – sapnął.

Bardzo piękna kobieta o zielonych oczach kota podeszła doń z wyciągniętą ręką.

Postanowił pójść w śmieszność. Skłonił się, sięgnął jej dłoni, ucałował.

– Niezmiernie mi miło.

Wówczas, gdy dopiero zaczynał się prostować, uderzyła go z szybkiego zamachu kantem drugiej dłoni w kark.

## Chata Chenów

Wydało mu się, że się ocknął prawie natychmiast. Ale musiał jednak minąć pewien czas. Kilka metrów dalej czarnobrody mężczyzna z M-16 na kolanach siedział na drewnianym krzeselku i palił fajkę.

Javier usiadł, pomasaował kark.

– Pana żona, panie Chen – mruknął Aproxymeo – rączkę ma jak komandos.

– Widziałeś chyba jej akta – zaśmiał się basem Chen.

– A gdzie obecnie znajduje się piękna pani sierżant? Poszła polować na rozbójników?

– Ukryła się razem z dziećmi. Nie pytałem, gdzie konkretnie.

Javier wstał, rozejrzał się. Wyglądało to na wnętrze namiotu – jak wiedział z raportów, miejsce przerzutu w Raavie ukryte było pod maskującą plandeką. Światło wpadało tu jedynie przez szpary w zasłonie wejścia i dziury po soplach. Większość miejsca zajmowały skrzynie i kontenery, poustawiane jedne na drugich. Koła przerzutu oznaczone były wbitymi w ziemię palikami.

Aproxymeo przysiadł na jednej z pak. Ściągnąwszy z siebie nadpaloną koszulę przyjrzał się jej z krzywym uśmiechem.

– Położył na mnie iluzję, tak?

Chen skinął głową.

– Wyszło dwóch HasWarT'wich. Tanita, podobnie jak ja, zna go przecież jeszcze z Doliny. Byliście identyczni. Potem on wyjął strzykawkę i zniknął. Ty stanąłeś w ogniu. Wiedziała, że miał pojawić się jedynie porucznik Aproxymeo, z opisu znaleźliśmy tylko natuaż. Więc przyłożyła ci i poszła po okulary. Możesz to z siebie zdjąć?

Javier wzruszył ramionami, strzepnął ręką. Rzucił zakłęcie negacji na cały namiot.

Chen wstał. Uścisnęli sobie dłonie.

– Adam Chen, miło mi. A ten natuaż rzeczywiście robi wrażenie.

– To zwyczajny tatuaż.

– Wiem, wiem. Ale mówimy w xotha. Na zewnątrz nie mamy nekrotora.

– Rozumiem. ARoSyMeO z Szarpanu, Rda na Dłoni.

– Sługa unizony, khan.

– A ta armata na co?

– Cóż, nie każdy potrafi rzucać czary.

– Dla HasWarT'wiego położyć antyprochówkę to jak splunąć.

Chen wyszczerzył zęby.

– Noo, to by się odrobinę zdziwił.

– O?

– To taki nasz mały prywatny projekt. – Mówiąc, ruszył ku wyjściu; Aproxymeo podniósł się i złapał z westchnieniem za bagaż. – Czary, jak sam zapewne najlepiej wiesz – kontynuował Chen – są w istocie bardzo precyzyjnymi rozkazami. A proch i proch to jednak różnica, a oni tu, na Raavie, nie zajmowali się tym problemem tak długo i z taką uwagą jak nasi naukowcy. Parę rys drogi stąd biegnie trakt z ciężką antyprochówką. Mieliśmy czas poeksperymentować.

– Chcesz powiedzieć, że to strzela nawet w jej obrębie?

– Oczywiście, są i minusy. Słabsza siła rozprężenia gazów, a więc mniejsza donośność i impet. Poza tym sypaliśmy mieszanek w łuski ręcznie, metodą chałupniczą, nie ma tu mowy o laboratoryjnej precyzyjności miar: co któryś nabój po prostu nie wybucha. Ale Dolina zakazała nam zabawy z innego powodu. Zdajesz sobie bowiem sprawę, że to jest wynalazek jednorazowego użytku. Gdy tylko miejscowi zorientują się, o co chodzi, natychmiast skonstruują antyprochówki szersze i obejmujące wszystkie warianty eksplozywnych mikstur, i będzie po przewadze – tymczasem my zwrócimy na siebie tym superprochem ich uwagę, a to jest ostatnia rzecz, jakiej życzy sobie Ack.

Wyszli już na zewnątrz namiotu i szli teraz w milczeniu przez dno szerokiego wąwozu do Chaty Chenów, która znajdowała się po drugiej stronie strumienia, w wiecznym cieniu nawisu stoku. Javier szedł za Chenem, starając się patrzeć przed siebie i nie dać zdekoncentrować otoczeniu. W miarę jak wchodzili w cień, Słońce powoli zniknęło za skałą. Karminowe niebo, pomimo iż sobie tłumaczył, że to nieprawda, przekonywało go o wieczorze, w jakim pogrąża się ten letni dzień. W rzeczywistości znajdowali się w Sjeście; a słowo „lato” nie miało znaczenia ni w Dniu, ni w Nocy. I tylko zieleń trawy

była swojska, znajoma.

Chata – to był długi, parterowy, drewniany budynek, częściowo wkopany w ziemię, o pochyłym, krytym słomą i mchem dachu. Chenowie zbudowali go tuż po swym przezuceniu; tu urodziły się wszystkie ich dzieci.

Weszli do środka. W głównej izbie – salonie – Javier z ulgą zapadł się w fotel. Adam Chen pojawił się po chwili z dwoma kuflami pełnymi piwa.

– Nasze? – uniósł brwi Aproxymeo.

– A czyje? Wiesz ile mamy do najbliższego miasta?

Przez chwilę popijali w milczeniu.

Javier wskazał stojący w kącie komputer i dwa stelaże z elektronicznym złomem.

– Zgłaszają się?

– Tak; wciąż dziewięcioro.

– I co im powiemy?

– Prawdę.

– Przełkną to?

– A co mogą zrobić? Kilkoro się nawet ucieszy.

Znowu milczenie.

– Ack kazała mu wstrzykiwać przed przerzutami terminową truciznę, prawda? – spytał Aproxymeo nie podnosząc wzroku znad kufla.

– Yhmhy. Od początku się bała, że będzie chciał skorzystać z okazji. Tylko to go mogło powstrzymać; bo co innego? Antidotum trzyma w sejfie lekarz na lotniskowcu, wstrzykuje mu w drodze powrotnej.

Aproxymeo zaklął pod nosem.

– Ten ochroniarz. Ten ochroniarz! Choroba morska, akurat! Założę się, że zuroczył go. Ciekawym, czy lekarz jeszcze żyje, może kazał mu go zabić. Tylko nie zauważyłem, kiedy wrócił i przekazał antidotum. Pewnie położył jakąś grubą iluzję, a ja nie miałem przecież powodu niczego podejrzewać. No szlag by to jasny...!

Chen spojrzał Javierowi w oczy.

– Jak dobry jesteś w te klocki?

– To znaczy?

– To znaczy, że chyba nie udałoby ci się samemu nauczyć się otwierać przejście na Ziemię, co?

Aproxymeo chciał się w odpowiedzi szyderczo zaśmiać, ale przestraszył się, że nie zdoła uniknąć nut hysterii w tym śmiechu, i ostatecznie tylko popukał się w głowę.

– Ja w ogóle nie jestem mag – wymamrotał z goryczą. – Ja tylko powtarzam parę sztuczek, do których mnie wytrenował. Sam się niczego nie jestem w stanie nauczyć, bo nie znam, nie rozumiem, nie czuję reguł. Satheno?

– Sotte.

– Widzę tylko jedno wyjście – odezwał się Javier z nagłą energią. – Odszukać HasWarT'wiego i zmusić go do powrotu. Tylko o nim wiemy z całą pewnością, że zna czar. A nawet gdyby znał go również jakiś inny mag – to jak by zareagował? jak mielibyśmy go przekonać, zmusić?

– A jak zmusisz HasWarT'wiego? Moim zdaniem na niego musimy już właśnie machnąć ręką. Trzeba znaleźć kogoś innego, jakiegoś prawdziwego mistrza – i potargować się. Nic siłą. Pieniądze, dyplomacja, może obietnica władzy; w ten sposób. Od HasWarT'wiego lepiej trzymać się z daleka. Szukać go – jeszcze czego! Założę się, że krąży tu gdzieś w okolicy, nie mógł daleko odejść, i sam wyskoczy w najmniej odpowiedniej chwili.

– To dlatego Tanita uciekła z dziećmi? Nie trzeba było. HasWarT'wi może być już po drugiej stronie Południa, widziałem jak wchodzi w coś w rodzaju teleportu. Niczego takiego mnie nie uczył, skurwysyn,

zatrzymał to dla siebie.

– Teleport? O czym ty gadasz?

Aproxymeo opisał błękitny wir.

– Jak to nie był teleport, to już nie wiem co.

Chen wstał, zaczął spacerować po pokoju; przystanąwszy przy odtwarzaczu CD, wybrał jakąś płytę i klepnął przycisk: ruszyła uwertura. Stukał kłękami do taktu o obudowę kolumny.

– Jedzenia starczy na kilka dekanów, zawsze zresztą mogę polować. Zwołam wszystkich, ale to potrwa. Troje jest na Na Odwrót, dopiero muszą złapać jakiś statek. Pytanie: na czyją korzyść gra czas?

– Na pewno nie Ack.

– A HasWarT'wi? Jakie są jego cele? Co my właściwie o nim wiemy? Skąd się wziął na Ziemi, po co w ogóle opuścił Raavę?

– Sądziś, że to spiszek? Czyj?

– Nic nie sądzę. Zadaję pytania. Tak trzeba zacząć.

– Umiesz stawiać Dialogi?

– O, to by się faktycznie przydało. Tanita jest w tym dobra. Nie wiem, czy zabrała talię.

– Każ jej wrócić. Nie ma sensu się kryć.

Chen zastanawiał się dłuższą chwilę – symfonia rozpętała się tymczasem niczym wiosenna burza – wreszcie skinął głową.

Ściszył muzykę, podszedł do stelaży, zaczął manipulować pokrętłami. Kaszlnęło, zatrzeszczało, zabuczało. – Może nie móc odpowiedzieć – mruknął. Javier popijał piwo i studiował wiszącą na przeciwległej ścianie płaskorzeźbę z drewna. Przedstawiała smoka i jednoroźca. – Są tu jednoroźce? – E, chyba nie. – A smoki? – Nie, też nie słyszałem.

– Co się stało? – spytała Tanita przez głośniki.

– Porucznik Aproxymeo mówi, że HasWarT'wi się gdzieś teleportował. Więc raczej nie mamy co się obawiać bezpośredniego ataku. Poza tym przydałaby się twoja interpretacja Dialogów. Masz przy sobie karty?

– Nie. Słuchaj, czy ty naprawdę sądzisz, że to będzie rozsądne? Teleportował się raz, może się teleportować z powrotem.

– No tak, ale to może zawsze – a do kiedy będziesz się kryć? Javier proponował go ścigać i schwytać, ale marne mamy na to szanse. Nie ma wyjścia, tak czy owak będzie to nad nami wisieć jak miecz Damoklesa. Decyduj się.

– Cholera. Cholera, cholera. Trzeba było nam posłać dzieci do rodziców.

– Ano trzeba było.

– W ogóle powinniśmy byli wrócić.

– Ja też teraz strasznie zmądrzałem.

– Sotte. Będziemy za ryse.

– Satheno.

Rozłączył się.

– Jak to w ogóle się stało, że Ack dała wam pozwolenie na dzieci?

– Akurat dała...! Aborcji nie mogła rozkazać, a ściągając nas za karę z powrotem i angażować nowych ludzi się jej nie opłacało. Ona jest psychiatra? Ona jest, a ioo oth, polityk i buchalter!

– Wydaje się, że nikt jej nie lubi. Dziwne. Jakoś nie wygląda mi na potwora. Glück podejrzewa ją o same najgorsze rzeczy. Skąd się to bierze?

– Siwowłosa babunia, hę? O, jeszcze ją poznasz, jeszcze ci bokiem wyjdzie.

Chen z powrotem padł w fotel. Zerknął do kufla i wypił resztę piwa. Ziewnął.

– Spać mi się chce. Sotte, tak mi cykl wychodzi. Będziesz miał oko na wszystko, satheno?

– Jasne.

Wkrótce chrapanie Chena zagłuszyło muzykę.

Aproxymeo spacerował po Chacie. Była jeszcze większa, niż się wydawała z zewnątrz. Bezpośrednie przejścia wiodły z tyłu do obudowanych drewnem jam/jaskiń wchodzących głęboko w stok wąwozu. Nic tu nie było zamykane na klucz. To odludzie, przypomniał sobie Javier, górskie ustronie; przez te wszystkie lata jeden KroMaDer się tu przyplątał. Nie ma się czego obawiać. Chenowie żyją tu jak na nieustających wakacjach. To znaczy – żyli. HasWarT'wi, HasWarT'wi... Wyszedł Aproxymeo przed Chatę, usiadł na ławie pod ścianą, w cieniu nawisu; wciąż trwał ten złudny nibywieczór – trwać będzie wiecznie. Zapach... fiołki, trochę spalenizny, lekki posmak pleśni. Wiatru prawie nie było. Strumień szumiał pieniąc się na białych kamieniach. Przez karminowe niebo szybowały jakieś szerokoskrzydłe ptaki. Wielki pies wytruchtał zza rogu Chaty, zbliżył się do Javiera, zaczął go obwąchiwać. No tak, przecież Chenowie mają te wilczury. Jakże się one wabia? Próbował pogłaskać psisko, ale pokazało zęby, zawarczało, uskoczyło. Rzucił urok. Ze skomleniem złożyło mu łeb na kolanach. Pogłaskał ciemną sierść. Czary, czary, słodka potęga złudzeń. HasWarT'wi, Gdyby Siedem Słońc. *Ale czy chciałbyś zostać moim uczniem? Co by się stało, jeśliby wówczas odpowiedział Javier magowi „tak”?*

## Kobieta wróży, dziecko lloxis

Na drewnianym stole wyciętym z jednego pnia jakiegoś gigantycznego drzewa rozłożyła swoją talię. Stół tkwił wkopany w ziemię przy zakręcie strumienia, rosnący obok figlak ocieniał tę piknikową instalację ruchomą firanką z drobnych, wąskich liści.

– Nie ma oznak bliskiego niebezpieczeństwa. Żadne arkasze nie pokazują też skupionej na nas czyjejś złej woli. Pustka. Bardzo niewiele powiązań. Spójrz. Większość Dialogów ma Klamrę. Coś zostało zamknięte, coś zostało otwarte, to początek albo koniec, ale w każdym razie: niewiele powiązań.

– HasWarT'wi?

– Nie widzę. I znowu: to dobrze, czy źle?

– Wyczytasz coś o szansach naszego powrotu?

– Brak powiązań, brak powiązań.

– Pamiętaj, Javier, że to nic nie znaczy – wtrącił się Adam. – Ona czyta tylko arkasze, a jeśli coś się zdarzy niezapowiedziane, losowo, „z zewnątrz”, nie wynikając z jakichś jawnych czy ukrytych długookresowych trendów, to nie ma możliwości tego przewidzieć.

NaiChe, która siedziała na kolanach matki i szeptała jej coś we włosy przez cały czas operacji Dialogami, nagle zaśmiała się, wskazała za strumień, zeskoczyła na ziemię i przebiegła na drugi jego brzeg. Aproxymeo obejrzał się za nią. Tłumaczyła coś z przejściem nagiemu chłopczykowi, sądząc po wzroście jej rówieśnikowi; potem zaczęli się z krzykiem gonić w cieniu skarpy, zaraz przyłączył się do zabawy jeden z wilczurów, szczekając i machając ogonem. Aproxymeo zamrugał. Ten chłopczyk to nie był RoChe, synek Chenów, ów blondynek, który obserwował był ze skrzyni przerzut – to było jakieś inne dziecko.

– Kto to jest?

– Kto?

– Ten mały. Wy macie przecież tylko dwoje dzieci, prawda?

– Nie, nie, troje. To Yas.

– Yas? To ten, co parę lat temu umarł na ściślicę, xa? No to on przecież nie żyje!

– Aha.

Przerwał ten idiotyczny dialog i spojrzał ponownie na lloxa dziecka. Czy z wyglądu różnił się YasChe

czymkolwiek od swojej żywej siostry? Chyba nie, w każdym razie nie sposób stwierdzić tego z całą pewnością z tej odległości. Z encyklopedii Doliny wiedział, że lloxar zawsze są nagie, przedmioty nieożywione nie mają wstępu na Drugą Stronę. I że upływ czasu nie dotyka ich „fizyczności”: nie dorastają, nie zmieniają się. Ale wiedział również, że ich manifestacje, zarówno subiektywne, jak i intersubiektywne, podlegają znacznej gradacji pod względem przystawalności do zmysłów żywych. Lloxar może być jedynie głosem, może być jedynie dotykiem, lub bladą zjawą, cieniem w cieniu, lub quasi-omamem, doświadczanym wyłącznie przez ciebie i nikogo innego. Stąd nie funkcjonowało na Raavie pojęcie „wariata” jako osoby zachowującej się dziwnie, mówiącej do siebie samej, walczącej z powietrzem, uciekającej przed niewidzialnym – ponieważ wszystkie tego typu zachowania mieściły się w kategorii całkowicie racjonalnych reakcji na subiektywne manifestacje lloxar. Glück wyprowadził nawet teorię lloxar jako umysłowych pasożytów, wędrownych zawirowań EEG. Czy lloxar w ogóle istnieje, gdy nikt żywy nie doświadcza, choćby częściowo, jego obecności? Czy całe to życie po śmierci nie stanowi po prostu jednej wielkiej choroby mózgow Raawańczyków? W swej najradykałniejszej wersji teoria ta zmieniała się w nieweryfikowalną metafizykę. Czy drzewa wciąż szumią, gdy nikt nie słyszy ich szumu? (Jaki jest dźwięk wydawany przez jedną klaszczącą dłoń?)

– Tu go pochowaliście?

– Mhm?

– Yasa. Gdzie jest jego grób?

Adam spojrzał dziwnie na Javiera.

– Nie ma grobu.

Straszna myśl przemknęła przez głowę Aproxymeo: czy oni go zjedli? Czy zjedli ciało własnego syna? Ale nie, przecież to absurd. Grobu nie ma, bo YasChe lloxis, co zatem leżałoby w grobie? – nie on, nie on; mięso, zgnilizna, żarcie dla robaków, proch i pył.

– Raava cię połknie, Javier – mruczy Tanita, stukając krótkim paznokciem w jeden z Dialogów. – Bo jeśli chodzi o ciebie samego, arkasze mówią o wielu silnych związkach. Najwyraźniej nieprędko wrócisz na Ziemię. Jeśli wrócisz w ogóle.

## W Garści

– NeGru do Chaty, NeGru do Chaty.

– Adam. Mów i czekaj.

– Wyżej Nerek. W Nerkach wciąż wrze ten bunt. Szukam Anilidów. Podjąłem dwa tysiące z filii Pierwszego FMK; sprzedajcie kilka kolejnych kamyków i zdeponujcie, bo widać już dno. Dialogi mówią o cieniu: mam kogoś na karku. Nie wiem kogo. Pogoda się tu psuje, idą szwungi. Co jeszcze? Przyszedł Lutzak, oferował pomoc; jakieś przepychanki w Domu Goryczy. Nowiny?

– Są, o, są. Javier Aproxymeo, major, zwierzchnik na Raavę, ARoSyMeO z Dłoni, po szkoleniu HasWarT'wiego. HasWarT'wi uciekł, przeskoczył razem z nim, miał antidotum, wyteleportował się gdzieś, diabli wiedzą gdzie. Pojmujesz, co to oznacza.

– Powtórz. Powtórz.

– HasWarT'wi przeszedł i uciekł. Ma antidotum. Jest gdzieś na Raavie. Nie mamy kontaktu z Doliną; powtarzam: nie mamy kontaktu z Doliną. Jesteśmy odcięci. Zrozumiałeś?

– ...

– Zrozumiałeś, Mike?

– Xa.

– Daję ci ARoSyMeO.

- Major Javier Aproxymeo.
- Porucznik Michael Negraux.
- Zmiana priorytetów. Czwahfa stoi, lecz przede wszystkim: HasWarT'wi lub inny mag znający czar przejścia.
- Taktyka?
- To znaczy?
- Możemy się wynurzyć? Posłałbym informację przez Gońców. Zapotrzebowanie na usługę. Chenowie trzymają pod podłogą wór diamentów, nawet Władcy Księżyca się skuszają.
- Nie przez Gońców. Anonimowo przez naszych agentów bankowych; a potem niech to idzie, jak chce. Sam zaniosę diamenty do Załocki. Twoim zdaniem, jakie są szanse?
- No wiesz, HasWarT'wi znał przecież tę sztuczkę a żaden z niego Władca.
- Twoim zdaniem: czy nie zainteresują się podobną ofertą jakieś, mhm, „czynniki oficjalne”?
- Nie wiem. To możliwe.
- Co byś radził?
- Odkrywać się etapami. Najpierw ogłosić prośbę o kontakt z Władcą, też ze sporym honorarium za samo spotkanie. I dopiero podczas tego spotkania, w cztery oczy... Przynajmniej zyskamy rozeznanie; bo jak nas wyśmiej, to już nie będzie innego sposobu, tylko łapać HasWarT'wiego.
- Satheno, fitteni. Zaner zrób to w ten sposób.
- Ty naprawdę potrafisz rzucać czary?
- Xa. Bo co?
- Zastanawiam się, czy nie mógłbyś się wkręcić w jakiś Kolor, to otworzyłyby ci automatycznie dojście do samej góry; bez ogłoszeń, bez wydatków.
- Że potrafię czarować, to jeszcze nie oznacza, iż jestem magiem w rozumieniu Raavańczyków, jeśli wiesz, o co mi chodzi.
- Mhm, trudno. To ja jeszcze o coś zapytam. HasWarT'wi... jakie odniosłeś wrażenie? Czy on zrobił to nam na złość, z zemsty, czy po prostu uciekł?
- Prawdę rzekłszy, wydaje mi się, że ratował w ten sposób życie. Nie orientuję się, czy jesteś na bieżąco z obrotami polityki Doliny, ale tam się teraz zaczęło robić nieprzyjemnie, zważyło się kupę luda, powiało Waszyngtonem, pojawiły się różne długoterminowe plany co do Baśni; a HasWarT'wi utknął w środku tego wszystkiego jako jedyny, który potrafi otworzyć przejście. Chyba po prostu puściły mu nerwy.
- No tak, pewnie Dialogi pokazały mu śmierć. Rozumiem. Coś jeszcze?
- Njecht. Rób, co ustaliliśmy.
- Satheno. Over.

## Dane operacyjne

Nerki, Anilidzi, szwungi, Lutzak, Gońcy, Załockie, Kolory.

Nerki, nadmorskie miasto Ryby, buntowało się z powodu podatku nałożonego nań przez miejscowego protektora. Okolica ta znajdowała się już poza zasięgiem bezpośrednich politycznych – czy wojskowych, co w gruncie rzeczy na jedno wychodziło – wpływów Xoth, i tamtejsze skupiska ludności samoorganizowały się w związki obronne, przeróżne ligi i przymierza, lub – jak w przypadku Nerek – wracały do tradycji feudalnej, przyjmując płatną protekcję jakiegoś obrotnego i cieszącego się powszechnym zaufaniem arystokraty z odpowiednio liczną drużyną na żołdzie. Czasami jednak wyradzało się to w rodzaj przymusowego haraczu, jak to się właśnie przydarzyło Nerkom. Nazwa

miejsowości pochodziła od kształtu zabudowy otaczającej zatokę.

Anilidami zwano członków sekty – czy raczej stowarzyszenia – historyków, podróżników i mistyków, którzy, wywodząc cywilizację człowieka (ut'), i chyba nawet człowieka jako takiego, od elfów – dążyli do odnowienia kontaktu pomiędzy tymi rasami. Zapuszczali się zatem w zakazane ostępy puszczy, szukali śladów, wertowali teksty, grzebali w ziemi, loo fane, fane, fane. Było w tym coś ze snobizmu, intelektualnej przekory kontestatorów, bo w mniemaniu pospólstwa od elfów należało się trzymać z daleka, nie były to bynajmniej żadne dobre duszki – z jednego z przedpodziałowych języków ocalało słowo opisujące je jako „drapieźców”, kroeve. Dolina poleciła Negraux zbadać, jak daleko Anilidzi posunęli się w swych poszukiwaniach i czy prawdą jest, co utrzymuje część autorów historycznych dzieł, które znalazły się w bibliotece Glücka – że mianowicie elfy zachowały sekret wytwarzania guzów bólu.

Szwungi to charakterystyczne dla popodziałowej Raavy huragany, idące szerokimi frontami od Nocy przez Zmierzch do Wieczoru, czasami aż do kartograficznej granicy Sjesty. Stanowiąc immanentny element systemu pogodowego Baśni, były szwungi dla ziemskich meteorologów taką samą fizyczną niemożliwością, co całość klimatu planety. Na ziemiach, przez które szwungi przeszły, znajdowano często przeróżne dziwnotwory, przywlezione przez wichurę z głębi Nocy; nieraz się zdarzało, iż na tej atmosferycznej fałdzie wpadały w Dzień całe chmury ordwoków, śmiercionośnych insektów zaterminatorowych.

Lutzak, Edwin Lutzak, porucznik U. S. Army – aktualnie lloxar; utrzymywał wciąż kontakt z żywymi agentami Doliny i często oddawał im przysługi jako Goniec. Rzecz polegała na tym, że po Drugiej Stronie odległości nie były tym, czym były w świecie żywych, i wielu lloxar pracowało – na konto swych nieumarłych krewnych czy przyjaciół – przenosząc w mgnieniu oka informacje z jednego krańca Dnia na drugi.

Załokcie z kolei były najbliższym Chacie Chenów miastem; przez nie, chcąc nie chcąc, musiał przejść każdy agent schodzący z gór. Istniało wprawdzie kilka wiosek leżących nieco bliżej, lecz Załokcie to – w warunkach Baśni – była już prawdziwa metropolia: ponad piętnaście tysięcy stałych mieszkańców. Ogrom Xoth nie powinien nikogo wprowadzić w błąd: to nie był świat megapolii w rodzaju ziemskiego Los Angeles/San Francisco czy Nowego Jorku.

Kolorami natomiast zwano rodzaj szkół bądź zakonów (nie było to jasne, nawet sam HasWarT'wi mętnie się na temat wypowiadał, nigdy nie należał do żadnego z nich), które grupowały magów o specyficznych zainteresowaniach czy talentach. Pierwotnie ich rola ograniczała się do obrony oraz pomsty zrzeszonych magów – powstały tuż po Podziale, gdy powszechny gniew na adeptów Sztuki doprowadzał do wręcz pogromów, a już ich zabójstwa rozumiane jako „prewencyjne wygnania” weszły w niektórych okolicach w zwyczaj. Nazwa – Kolory – wzięła się od reguły każącej ich członkom malować swe powieki w jaskrawe barwy, a to dla ostrzeżenia potencjalnych zamachowców: mag mrugał i wszyscy już wiedzieli, iż jego Kolor nie spocznie, póki okrutnie nie pomści wyrządzonej mu krzywdy. Jeszcze okrutniej traktowali Koloryści osoby podszywające się pod nich, bezprawnie noszące ich znak. Przynależność do Kolorów nie była obligatoryjna (w istocie, w ocenie HasWarT'wiego, zrzeszały one mniej niż jedną trzecią magów Raavy) i nie obowiązywał w nich żaden sztywny kodeks czy nawet wewnętrzna hierarchia, jak to sobie z początku wyobrażano w Dolinie. Przywodziły one na myśl raczej skrzyżowanie ziemskich gangów z grupami dyskusyjnymi. Doktor Ack swego czasu faktycznie nosiła się z zamiarem wkręcenia doń jednego z agentów przeszkolonych przez HasWarT'wiego, lecz Gdyby Siedem Słońce w końcu wybił jej to z głowy. Za wysokie progi.

## Opis bohatera

W Pięści tak właśnie się ubierali. W pierwszej chwili skojarzył to sobie ze strojami samurajów: te same szerokie, bufiaste, przewiewne szaty, ten sam sposób oplatania bioder płóciennym pasem. Tylko spodnie i buty inne. Głowę przewiązał białą bandaną.

Nad kostkami nóg zatrzasnął grube metalowe obręcze z wtopionymi w nie kilkudziesięcioma kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi. Te kamienie, jako częściowe bądź całkowite immunizatory na pewne specyficzne rodzaje magii, stanowiły na Raavie amulety i talizmany o stuprocentowej, potwierdzonej wieloma eksperymentami skuteczności. Ich dystrybucja w geologicznych pokładach Baśni różniła się od ziemskiej, można było zatem sporo zarobić na spekulacjach. W istocie owych kilka woreczków diamentów przechowywanych w Chacie Chenów stanowiło majątek równoważny raawańskiemu lennu niemałych rozmiarów.

Pod spód, na gołe ciało, poszła kamizelka kevlarowa, wcale lekka. Na to koszula, a na nią druga kamizelka, skórzana, już nie zapinana, z kilkoma tuzinami kieszeni, wewnętrznych i zewnętrznych. Koszula była biała, kamizelka czarna, spodnie brunatne, także wysokie buty. Pod szerokim płóciennym pasem ukryty był drugi, z olstrami na noże, z komunikatorem zamontowanego na stałe w plecaku radia o dużej mocy, kaburą pistoletu z wbudowanym tłumikiem, schowkiem na pieniądze i diamenty. Ponadto dwa noże w pochwach ukrył Javier w rękawach, pod nadgarstkami, naciągając na przedramiona elastyczne opaski.

Zdawał sobie sprawę, że jest coś absurdalnego, wręcz śmiesznego, w takim zbrojeniu się po zęby na samym początku drogi, w środku bezludnych gór – lecz zwyciężyła w nim pamięć niezliczonych opisów herosów fantasy wyruszających na swe pozornie straceńcze wędrówki, to zawsze był pierwszy punkt kulminacyjny opowieści, niezbędna jest w nim pewna patetyczność, trochę ciężkiej muzyki dla podkreślenia wagi.

Nałożył plecak, na głowę nasadził wielki, szerokoskrzydły kapelusz z czarnego filcu, w lewą dłoń chwycił miecz w pochwie – i wyszedł na zewnątrz.

Tanita uśmiechnęła się, uniosła do oczu aparat i pstryknęła kilkanaście zdjęć. – ARoSyMeO! – zawołał Adam z ławy, unosząc wzrok znad laptopa i salutując zamasyście. RoChe pokazywał palcem Javiera zmarłemu YasChe, szczerzyli obaj białe ząbki.

Aproxymeo skłonił się lekko, zamachał kapeluszem, uniół pochwę z mieczem. – Pieśni będą o mnie śpiewać!

Wywijając tym mieczem jak batutą, odwrócił się i odszedł w dół ścieżki, wózem i ku wyjściu z niego, aż zniknął Chenom z oczu za skalnym załomem. Wtedy uśmiechy spelżyły z twarzy Tanity i Adama. Spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i odwrócili wzrok. Tylko dzieci jeszcze przez jakiś czas chichotały, naśladując krok Javiera i jego ekwilibrystykę pochwą z mieczem. Wreszcie Tanita im zabroniła, bo Ro mało nie wykłuł przy tym Nai oka patykiem. Wtedy trójka gołych maluchów pobiegła za strumień, bawić się w słońcu z psami. Tanita westchnęła, położyła się na wznak w trawie i zaczęła fotografować chmury na czerwonym niebie. Adam stukał w zamyśleniu w klawiaturę laptopa.

Tak wyglądało odejście bohatera.

## Pod czerwonym niebem

Po pierwsze: jęły wprowadzać go w błąd instynkty z móżdżkiem wykształcone podczas wielu lat szkolenia, po których to latach orientował się w stronach świata nawet się już nad tym świadomie nie zastanawiając. Tutaj tymczasem paluch cienia wskazywał nie wschód czy zachód, lecz Terminator.

Sięgnął po kompas, by przyporządkować tej stałej godzinie na słonecznym zegarze stosowne ramie różny wiatrów. Wschód-południowy wschód; rzecz jasna tylko póki nie zrobi kilkunastu stopni dookoła Południa.

Kierował się natomiast prawie dokładnie na północ, czyli mniej więcej pod kątem stu dziesięciu stopni do swego cienia. Obejrząwszy się przez prawe ramie, winien go zawsze znaleźć odchylony nieco w tył, niczym wywichnięte skrzydło. Szerokość i długość jego rozpostarcia oznajmia odległość od przysłonecznego punktu globu.

Na początku, oczywiście, musiał kluczyć. Te góry to prawdziwy labirynt, nic dziwnego, że przez cały ten czas jeden KroMaDer spadł Chenom na głowy. Już po pierwszym kilometrze zmuszony był Javier wyjąć elektroniczny mapnik. Drogę do Załokci wpisano doń jeszcze w Dolinie, potem sprawdzili ją Chenowie. Czerwona linia wyznaczała na płaskim ekraniku szlak kurierski, jak żartowali małżonkowie: „diamentowy trakt”. Co jakiś czas Adam lub Tanita pokonywali go na piechotę, w jedną stronę przenosząc brylanty do zdeponowania w banku, w drugą zaś taszcząc poczynione w mieście zakupy. Czas marszu oceniali na niecałe dwadzieścia rys, i to przy nawet złej pogodzie i spacerowym tempie; do tego należało wszakże doliczyć czas na sen. Aproxymeo nie zamierzał się śpieszyć. Muszę się wpięć wpięć wpięć, mówił sobie.

Szybko docenił dobrodziejstwo przeciwsłonecznych okularów: nieustająca jasność bijąca z jednego i tego samego punktu na karminowym nieboskłonie męczyła oczy, dezorientowała, przyprawiała o ból głowy. Okulary należały do owej serii skłębionych przez HasWarT'wiego przed laty w deziluzatory i detektory magii, kilka sztuk mieli w Chacie Chenowie, zwykłych i lustrzanych – to po nie pobiegła była Tanita dzielniejszy Javiera w kark: chciała przejrzeć przypuszczany omam. Za egzemplarz Aproxymeo na Ziemi po pierwszym rzucie oka nie dałby nikt trzech dolicz: zwykły czarny plastik. Obnoszenie się w Baśni z plastikowymi utensyliami nie powodowało bynajmniej niebezpieczeństwa dekonspiracji: wystarczyło rzec coś o zamorskich rzemieślnikach, sztuczkach krasnoludów czy czymś podobnym. Stopień wiedzy ogólnej o jego świecie statystycznego mieszkańca Raavy był nieporównanie niższy od analogicznego statystycznego Ziemianina, bardzo wiele pozostawało u Raawańczyków w domyśle. Łądy niezbadane, ludy tajemnicze... Wszak pozostawała zakryta przed nimi cała połowa planety – dla Amerykanów z początku XXI wieku był to zupełnie inny tryb myśli. Amerykanin z początku XXI wieku doskonale wie, co jest „możliwe”, a co „niemożliwe”. W przeciągu pięciuset lat wymazano na Ziemi z map i umysłów ludzkich ostatnie białe plamy. A średniowieczni kartografowie zawsze znajdowali miejsce na węże morskie i feniksy. Kosmos zaś – kosmos nie jest w stanie wziąć na siebie tej roli, on też już został zważony, zmierzony i oceniony: bipipip w oknie zimnego wodoru mieści się w „możliwości”, zielony kurdupel z antenkami na czerepie już nie. Podczas gdy w Baśni – jak to w baśni – nikt ci nie zakrzyknie: „Niemożliwe!”. Nie dlatego, że możliwe jest wszystko, lecz dlatego, iż owo wszystko nie zostało jeszcze nawet opowiedziane. Za każdym razem wskazuje się palcem. Plastikowe okulary Aproxymeo nie przynależą do żadnego zdefiniowanego zbioru. Mógł je nosić.

Szedł i szedł, pochwał z mieczem podpierał się od czasu do czasu jak laską, szerokie skrzydła kapelusza wachlowały go na dusznym bezwietrzu. Kamienie chrzęściły pod butami. Wiedział, że grawitacja jest tu niemal identyczna z ziemską, a jednak czuł się jakoś podstępnie wyzuty z sił przez ten świat. Powietrze też przecież nie było wyjątkowo rozrzedzone. Dopiero, gdy wszedł w las, zorientował się, co jest nie tak: nie patrzył był na zegarek, stracił poczucie czasu, w efekcie przemaszerował za jednym razem półtora zaplanowanego odcinka. Dotarł do strumienia i zrzucił tu plecak. Woda mu wszystko wynagrodziła: płynny kryształ, i tak smakuje. Spływa z gór, choć przecież nie z lodowców, a zimna aż drętwieją zęby. W strumieniu dojrzał małe, zielonkawe-niebieskie rybki. Jak tylko pomyślał, by złapać którąś z nich, zakręciły wszystkie ostro minilawicą i szybko odpłynęły. Musisz się pilnować, pomyślał, same topazy cię nie osłonią.

Choć zmęczony, długo nie mógł zasnąć, rozciągnięty na twardej, nagrzanej ziemi pod czerwonym niebem. Kiedy ona oddaje to ciepło?, zastanawiał się. Wiatry, huragany, szwungi... Mają rację, meteorologia Raavy to szaleństwo. Srokopodobne ptaki skakały po gałęziach nad nim. Nie znał ani tych zwierząt, ani tego drzewa, i nie potrafił orzec, czy dlatego, iż nie występują na Ziemi, czy też po prostu z racji swej niedostatecznej ornitologicznej i dendrologicznej wiedzy. Przypomniał sobie owe wielkie ptaszyska, które dojrzał na niebie z Wąwozu Chenów. Jak to tu jest z prądami konwekcyjnymi? Skoro nie ma nocy... ziemia i woda jednak nagrzane... czy rzeczywiście? Jaki pułap mogłyby osiągnąć te superkondory? Patrzył na czerwone niebo i myślał o HasWarT'wim.

## Aproxymeo do Chaty

– Aproxymeo do Chaty. Aproxymeo do Chaty. Zaraz ruszę dalej. Współrzędne według siatki mikro: siedemnaście dwadzieścia dwanaście, osiemdziesiąt trzy dwa trzydzieści. Zgłosił się ktoś jeszcze?

– Luna. Powinna zdążyć do Załokci.

– Co mówiła?

– Niewiele.

– Mam dla was coś do przemyślenia. Pogłówkujcie. Skąd HasWarT'wi znał czar przejścia? Nie jest Władcą Księżyca. Skądś go poznał; i kto jeszcze wobec tego go zna?

– Mógł sam wymyślić.

– Nie. Nie żyłby wówczas. Wbiłby się w skałę lub zmiądzłoby go ciśnienie głębi oceanu. Musiał z góry wiedzieć o różnicy średnic planet. To nie mogło być pierwsze przejście. Poza tym HasWarT'wi z całą pewnością nie jest autorem tego czaru, to nie jego dzieło, nie jego sztuka: nie potrafi go przekształcić, przypomnijcie sobie te komplikacje z transportem na łódź podwodną, musi powtarzać na ślepo; a to go upokarza. Powiedział w ogóle cokolwiek o motywach swej emigracji? Czemu przez te wszystkie lata nie wracał na Raavę? Mógł. Nałóżcie na siebie w 3D mapy Raavy i Ziemi; jest ograniczona ilość miejsc położonych na Raavie powyżej dwóch kilometrów nad poziomem morza i odpowiednio pokrywających się ze stałym gruntem na Ziemi.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby Ack od dawna znała odpowiedzi na wszystkie te twoje pytania.

– Ale to nie ona utknęła po niewłaściwej stronie śluzy. Satheno. Zgłoszę się ponownie na początku kolejnego cyklu. Klamra.

## ARoSyMeO i bandyci

Jego miecz stracił swe dziewictwo cztery smoki dalej; nie był to chwalebny chrzest krwi. W tym rejonie Ryby liczono sobie smoka na mniej więcej siedemset metrów. Stało się to już zatem na bitym trakcie idącym ku Załokciom przez puszcę z odległej Jazy. Javier minął zakręt i zobaczył siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na środku traktu nagiego mężczyznę z miską żebracza przed sobą. Momentalnie stanął Aproxymeo przed oczyma stosowny fragment jednego z raportów Chenów. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

Byli to zbóje proszalni. Metoda posiadała długą tradycję. Jeden siadał w charakterze żebraka na drodze, reszta kryła się z lukami i kuszami po lesie po obu jej stronach. Jeśli uznają, iż podróżny nie rzucił do miski wszystkich swych wartościowych przedmiotów (a przynajmniej trzech czwartych), podziurawia go jak rzeszoto. Diabelska przewrotność tej taktyki polegała na tym, iż prawie nigdy nie udawało się złapać snajperów a gołego dziada po prawdzie nie bardzo było jak i za co podług prawa karać, bo on przecież nawet słowem się nie odzywał. Na dodatek po szlakach roilo się od blefujących na

tęże melodię autentycznych żebraków. Zbóje proszalni należeli do jednej z gorszych kategorii desperatów, bo choć wystraszonych darczyńców faktycznie puszczała cała, to nie wahali się wysłać na Drugą Stronę nie dosyć hojnych. Wiedzieli, że lloxar im nie odpuszcza i złoży obciążające ich zeznania – skazywali się tym samym na dośmiertne wygnanie w dzikie ostępy, wieczną ucieczkę od cywilizacji. Akceptowali to; był to ich wybór; nie mieli wobec tego nic do stracenia, z góry przyzwalając sobie na mord.

Aproxymeo zaś wiedział, że to akurat jest prawdziwa pułapka, nie żaden blef, bo z miejsca posłał po okolicznym lesie myślotrutnia i ten wymacał sześciu poukrywanych w wysokim poszyciu łuczników, trzech z lewej, trzech z prawej. Javier natychmiast postawił dookoła siebie mur czarów.

Przystanął dwadzieścia kroków od „żebraka”, zrzucił kapelusz na rzemieniu na plecy, pochwę z mieczem ułożył na zgiętym lewym ramieniu, rękojeścią do przodu, po czym krzyknął w xotha:

– Strzelajcie! Bo nie dam ani grosza!

Sześć strzał wyskoczyło z zielonego gąszczu, pomknęły prosto ku Javierowi, by niespodziewanie zahamować w powietrzu i spaść w pył u jego stóp. Ich drzewca ułożyły się dookoła w nieregularną gwiazdę.

– Glica, magik! – warknął ktoś z lasu.

Ale, jako się rzekło, byli to desperaci. Wyszli całą szóstką. Dwóch miało włócznie, dwóch – coś na kształt kamiennych tomahawków, jeden – korbacz wczwórwiązany, a jeden – miecz, nawet nie zardzewiały. „Żebrak” zaś podniósł z ziemi ułamaną gałąź.

Byle nie wyszła z tego chaotyczna rąbanina, myślał Aproxymeo, bo wówczas nawet tą gałęzią moge zostać wyekspediowany do Domów Wieczności.

Był żołnierzem, obce mu było pojęcie „uczciwej walki”, miejsce to zajmował inny termin: „przewaga ogniowa”.

Na najdalszą parę spuścił czar ślepoty, bliższą dwójkę sparaliżował bólem, a w trzech najbliższych zaczął rzucać nożami. Jednego dostał dopiero rzutem w plecy, gdy zbój skakał już w krzaki – bo jednak lekko trzęsły się Javierowi ręce i co drugi rzut był do bani.

Następnie obnażył czarną klingę miecza. Wpierw dobił mocnym sztychem tego z korbaczem, co dostał bardzo elegancko w gardło, ale ciągle krztusił się i krztusił własną krwią i jakoś nie chciał umrzeć. Potem przeszedł do faceta z tomahawkim, do którego już nie miał tak dobrego oka: jeden nóż w brzuchu, jeden w udzie, jeden w barku. Potem sprawdził tego, który uciekał: nie żył, jakimś cudem skręcił sobie kark padając w chaszczę ze stałą między łopatkami.

Pozbierał noże, wytarł z krwi ich klingi, także głównię miecza. Pochował broń i spojrzął na pozostałą czwórkę bandytów. Para o porażonych systemach nerwowych wpadała już w lekką epilepsję; ślepy natomiast dreptali w kółko po tracie, macając przed sobą powietrze rękoma i wołając histerycznie swych towarzyszy. No i co ja mam z nimi począć? Puścić żywych? Przecież widziałem ich oczy: pójda za mną na koniec świata, żeby tylko się zemścić. No nie mogę sobie na to pozwolić, nie mogę. Z drugiej strony – skrzywił się – i tak wyszła z tego rzeźnia niepiękna.

Ale krzywiąc się – już ponownie obnażał czarny kompozyt. Poprawił na nosie ciemny plastik, westchnął i poucinał im głowy.

## Baśń rozwiera ramiona

Dopiero trzy rysy później, siedząc przy małym ognisku na polance przy malowniczym „kieszonkowym” wodospadzie, pojął, jak zapamięta owo wydarzenie na całe życie: jako siedmiokrotne morderstwo. Przytłoczony wspomnieniami niezliczonych filmów o mordercach i dziełach ich sztuki, jął

grzebać w swych uczuciach, na siłę próbując się zanalizować. Co teraz myśli? Co mówi mu sumienie? Czy odczuwa jakieś podniecenie? Odczuwał zmęczenie; myślał o znaczeniu tego spotkania dla jego przyszłości jako arkaszu; a co do sumienia, to nigdy nie wiedział, co to takiego, przypuszczał, że nabywane w wychowaniu uwarunkowanie behawioralne – i ono nic nigdy nie mówiło, co najwyżej czkało uporczywie nieprzyjemnymi retrospekcjami.

Pogryzał właśnie wysokoenergetyczny baton popijając wodą zaczerpniętą prosto z wodospadu, czubkiem buta wpychając kolejne patyki w ognisko (które po prawdzie stanowiło wyłącznie jego fanaberię, bo temperatura wcale nie spadła, słońce tkwiło przecie wciąż na swoim miejscu) – gdy z rzadkiego jego dymu wyszedł ów nagi „żebrak” z traktu.

Javier wytrzeszczył oczy, poderwał się, cisnął precz baton i bidon, złapał za pistolet.

„Żebrak” powiedział coś w nie znanym Aproxymeo języku.

Porucznik (to znaczy major) cofnął rękę z rękojeści pistoletu, podniósł natomiast miecz.

– Pięściarz – warknął lloxar w xotha spoglądając na twarz Javiera – czyli na jego tatuaż. – A ioo oth!

– Glica by się... I po śmierci będziesz zbójował? – syknął Aproxymeo.

– Zabiłeś mnie! – wrzasnął lloxar zbója.

– I dobrze!

– Jeszcze pożałujesz, że nie wrzuciłeś mi do miski ostatniego miedziaka!

– Już żałuję, że nie otworzyłem dla ciebie Księgi Bólu!

– Będziesz mnie błagał o litość!

– Prędeż połknę swój miecz!

Wrzeszczeli tak na siebie przez ognisko, okrążając je i wymachując ramionami, żołnierz i duch, aż wreszcie Aproxymeo je zadeptał.

Lloxar rzucił się na niego, przesunął złudnymi kończynami przez jego ciało, zbliżył półprzezroczystą twarz do jego twarzy – Javier usiłował odskoczyć, odgonić zmarłego, wywinąć się: bezskutecznie; duch zawsze nadążał za jego ruchami, Javier zmuszony był patrzeć na świat przez brudne, pomarszczone oblicze bandyty.

– Będę cię prześladował setnia po setni – szeptał lloxar – nie pozbędziesz się mnie ani na sekundę. Będę ci przeszkadzał we wszystkim, cokolwiek byś nie czynił. Będę kłamał twym przyjaciółom i lżył twe kobiety. Będę spiskował i oczerniał. Mój jest Dom Zemsty. Nie zaznasz spokoju. Żyłami płynąć ci będzie jad bezsilnej nienawiści. Wyssam z ciebie wszelką radość. W końcu sam do mnie przyjdiesz; na kolanach.

Aproxymeo milczał.

Czy istnieje jakaś llox-policja dla utrzymania porządku i prawa między zmarłymi? Przecież to jest przestępca! Jakaż racja stoi za jego zemstą? Bez sensu to. Czy zbrodniarze mszczą się w ten sposób po śmierci na swych oprawcach, uczonych w Księdze? Toż to jakaś paranoja!

Usiadł przy plecaku, zamknął oczy; lloxar szeptał nadal.

Jedno w każdym razie jest pewne: póki on tu przy mnie tkwi, nie mogę skontaktować się z Chatą. Zostałem odcięty na odciętej Baśni. Jestem sam, absolutnie sam.

– ...przywiodę do zbrodni twe dzieci...

To znaczy: ja i mój poltergeist.

*Jacek Dukaj*